

# BLUSZCZ

NR. 4

ZŁ. 1,20



S.S.



541

NA KARNAWAŁ!

Zeszyt Wydawnictwa  
„Modne Roboty Kobięce”

p. t.

## KOTYLJONY

zawiera sto kilkanaście pomysłów i artystycznych wzorów tych eleganckich ozdób tanecznych.

Cena 2 zł.

Z przes. 2 zł. 50 gr.

Tow. Wyd. „BLUSZCZ” — Warszawa  
Plac Zamkowy 9 i Solec 87



Najlepszym, najtańszym, samodiałającym,  
krajowym środkiem do prania bielizny jest

## „TLENOL”

Jedna paczka „TLENOL’u” wystarcza do sporządzenia jednego prania domowego.

„TLENOL” jest do nabycia we wszystkich  
sklepach w całej Polsce.

548

Zakłady Przetworów Techno - Chemicznych  
**B. SZCZEPAŃSKI.**



80 LAT  
przodują

PULSA  
PUDRY

545

Zeszyt  
Modnych Robót Kobięcych

p. t.

## LALKI

zawiera prześliczne  
modele lalek ozdoby  
nych i dla dzieci.

Cena zeszytu 2 zł.

Z przes. poczt. 2 zł. 50 gr.

Wysła

Tow. Wyd. „BLUSZCZ” — Warszawa, Solec 87  
i Plac Zamkowy 9.

### Pod stałą kontrolą

całego sztabu chemików odbywa się fabrykacja Aspiryny. Badanie i sprawdzanie daje zupełną gwarancję czystości, równomiernego składu i dobrej przyswajalności preparatu. Dlatego też można się do Aspiryny odnosić z zupełnym zaufaniem.

Aspiryna istnieje tylko jedna! Do nabycia w aptekach.

514

### W szkole

i wszędzie, gdzie zbiera się wiele osób, istnieje niebezpieczeństwo zarażenia się przez wdychanie rozsiwanych podczas kaszlu lub kichania zarazków. Chronie się zatem przed gripą, zapaleniem gardła i przeziębieniem zapomocą



pastylek  
**Panflavin**  
BAYER

Do nabycia we wszystkich aptekach.

16

# Błęszcz

społeczno-literacki ilustrowany tygodnik kobiecy

## 1863 — 1933

Siedemdziesiąt lat minęło od chwili wybuchu powstania styczniowego. Rozwinał się olbrzymi płat historii i przykrył sobą niepowrotnie to, co było. Ale nie zdołał zatrzeć drobnych krwawych śladów na śniegu: kroków powstańca, leśnego człowieka, tropionego, jak zwierzę w puszczy. Te kroki to było właśnie stąpanie historii, nie tej oficjalnej, pisanej bagnetem na ciele narodów rozdartych, ale tej istotnej, co szła przez serca nurtem ognia podziemnego, w jeden łańcuch wiążąc następujące po sobie pokolenia.

I dzisiaj, gdy z pogłębionej przez dziejowy katalizm perspektywy patrzymy na powstanie styczniowe, nie biadamy już nad niem, jak nad klęską, nie ubolewamy, jak nad szaleństwem, nawet nie stajemy w podziw, jak wobec bohaterstwa. Bo do klęsk, szaleństw, bohaterstw zdołaliśmy już przez te siedemdziesiąt lat przywyknąć. Nie zastanawiamy się nad tem, czy powstanie było błędem, czy aktem rozpacz, czy mogło i powinno być z partyzantki przerodzić się w rewolucję, czy było dziełem pewnych warstw, czy zbiorowym, choć tłumionym krzykiem narodu.

Nie o to nam dziś chodzi. To są zagadnienia, które bada i będzie badać nauka z takim lub odmiennym wynikiem. Życie nasze i naszych ojców przyniosło nam inne, prostsze rozwiązanie faktu. Dla nas jest rzeczą oczywistą, że powstanie *musiało być*, że było koniecznością dziejową. W łańcuchu pokoleń, które protestowały czynnie przeciw gwałtowi i przemocy, które z bronią w ręku dawały znać światu, że „jeszcze nie zginęła“, nie mogło zabraknąć tego jednego świadectwa.

Pradziad walczył za niepodległość Polski pod Kościuszką i we włoskich legjonach; dziad bił się w 1831-ym, ojciec w 1863-im, syn za wolnościową robotę wygrzewał cele Pawiałka i Cytadeli i brnął przez tajgi sybirskie; wnuk broczył krwią w wielkiej wojnie na wszystkich frontach Europy z wiarą, że bije się za Polskę. Z rąk do rąk podawano sobie płonąca pochodnię wolności, aż rozgorzała w wielkie ognisko.

Dzisiaj w jego blasku grzeje się garstka tych, co siedemdziesiąt lat temu, w zaraniu budzącej się młodości, gotowi byli tę młodość złożyć w ofierze „wielkiej sprawie“, czemuś, co wydawało się nieosiągalne, co jednak trzeba było poić krwią, aby żyło: prawo do niepodległości. Dzisiaj ta „wielka sprawa“ stała się sprawą codzienną, zwyczajną. Jak łatwo człowiek przyzwyczaja się do szczęścia, skoro staje się jego udziałem!

Z tem większą czcią i wzruszeniem chylimy dziś czoła i sztandary przed tymi, którzy o to dobro walczyli napróżno, a potem pół wieku czekałi, aby przyszło, zdobyte rękami młodszych, szczęśliwszych...

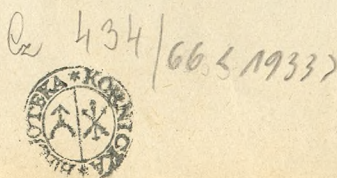
Im to, ostatnim weteranom 1863-go roku, żywym jeszcze relikwjom wojującej przeszłości, poświęcony był tegoroczny obchód powstania styczniowego. Do nich to zwrócił się generał Rydz-Śmigły w swoim płomiennym przemówieniu pod krzyżem Traugutta, na którym zawiesił Krzyż Niepodległości z mieczami, nadany dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej wszystkim powstańcom poległym i zmarłym — mówiąc:

— Wy nam zazdrościcie może naszego wojennego zwycięstwa, które jest przecież triumfem Waszej idei, ale my Wam zazdrościmy hymnu „Boże, coś Polskę...“, śpiewanego po litewsku przez litewskich chłopów, i tego żmudzkiego powstańca, co poszedł bić się za Polskę pod przewodnictwem swego duszpasterza“.

Tak! zmieniły się czasy. Inne oblicze ma dziś świat. W epoce tanków, gazów trujących, łodzi podwodnych i walki napowietrznej jakimś romantycznym, legendarnym anachronizmem wieje od tej garstki granatowych ze srebrem mundurów weterańskich, od tych trzęsących się dziś pod rogatywką siwych głów, które niegdyś tak buńczucznie niosły się nad szarą burką powstańcą.

Przerzedzają się szeregi „żywych relikwii“. Ale wiecznem i niezniszczalnem pozostanie to, czego one dzisiaj są dla nas symbolem: pierwiastek bohaterski w narodzie.

Stefanja Podhorska-Okoloro.



# Ankieta Bluszczu o nowy typ mężczyzny

*W niniejszym numerze dajemy głosy: p. Aury Wyleżyńskiej, świetnej essayistki, dobrze znanej czytelnikom „Bluszczu“ autorki „Paryskiej Sofjówki“ oraz młodej, obiecującej literatki, p. Jadwigi Korczakowskiej, której szkic powieściowy p. t. „Za białą ścianą“ drukował „Bluszcz“ dwa lata temu.*

Przed paru laty „Ilustrowany Kurjer Krakowski“ zwrócił się do mnie o odpowiedź na ankietę: „Jaki typ mężczyzny jest najniebezpieczniejszy?“ Odpisałam niezwłocznie: „Ten, którego się w danej chwili kocha“.

Przypomniałam sobie ten fakt, gdy redaktorka „Bluszczu“, pani Stefanja Podhorska Okołów, spytała mnie, co myślę o nowym typie mężczyzny. Chyba nie o nim nie myślę. Do nowego typu mężczyzny nie mam żadnego stosunku, a ponieważ lubię mówić o rzeczach, które mrozą lub palą, odmówiłam udziału w ankiecie.

Z wielkiem jednak zajęciem czytałam liczne i ciekawe odpowiedzi, ale dopiero głos Haliny Dąbrowskiej wyjaśnił, dlaczego sprawa ta wydała mi się obca czy daleka. Tak, raczej zamiast walczyć o nowy typ mężczyzny lub kobiety, należałoby walczyć o nowego, lepszego człowieka. Takiego, który łatwo przekracza granice, dzielące ludzi na dwie połowy.

Oczywiście, jeśli chodzi o miłość, granica między nami a nimi nie może być zatarta, ale inaczej rzecz się przedstawia wobec przyjaciela, towarzysza pracy, przechodnia na ulicy.

Różnice fizyczne, a może i duchowe, pozostaną do czasu; fizjologiczne — zawsze; ale niejedną przepaść zasypie nalot nowych prądów. Poco podkreślać odrębność, zamiast szukać pokrewieństwa? Mówimy (wiele z nas to mówi z dumą): od czasu wojny myśmy wyrosły, a oni przez to zmaleli; myśmy biegły, gdy oni nieraz szli o kuli. — Ale przecież teraz razem posuwamy się naprzód. Trzymajmyż się mocno za ręce, aby uzgodnić krok, szybko w przyszłość idący, aby tym samym rytmem biło serce.

Pozatem wszystko inne będzie formą współżycia, nie jego treścią.

Zamiast czynić zarzuty, ułatwiajmy, aby stali się, jakimi chcemy ich widzieć. Stawiamy mężczyznom nowe wymagania, a żądamy dawnych świadczeń. Żona i nadal nie pyta męża, skąd ma wziąć pieniądze, których domaga się stanowczo; koleżanka pragnie, aby kolega biurowy pełen był dla niej światowej grzeczności. Wydaje mi się, iż pragnąć można jedynie tych względów, jakie się innym okazuje; podstawą stosun-

ków towarzyskich winien być stan zdrowia i wiek, nie zaś płeć. Choć pewne uprzejmości natury estetycznej zawsze będą obowiązywały.

Mężczyźnie łatwiej jest coś podnieść czy przynieść, aniżeli kobiecie. Oczywiście, jeśli ona nie jest sportsmenką, on zaś niedołągą.

Natomiast, gdy nie możemy już złych nałogów wykorzenić z naszych współczesnych, uczmy przyszłe pokolenie szacunku dla pracy domowej i równości na tem polu — na korzyść mężczyzny, na niekorzyść kobiety.

Skoro oboje pewną ilość godzin spędzają poza domem, aby na ten dom mócłożyć, to przestaje on być polem działalności jednej strony, a staje się terenem wspólnym. Na oboje spada ciężar kłopotów gospodarskich. Przyzwyczaiłam się do tego we Francji, gdzie ludzie, mieszkający pod tym samym dachem, zgodnie pełnią dyżur, i nie widziałam, aby z tego powodu „pan stworzenia“ miał niżej nosić głowę. Co prawda, gdy rozmawiałam o tem w Warszawie, spotkałam się ze sprzeciwem ze strony pań: „Taka gospodarka wprowadza zamieszanie“... Z pewnością przyczyną tego jest brak wprawy. Cierpliwości!

Współudział małżonków w administracji obiadem i kolacją może mieć jeszcze tę dobrą stronę, iż z natury kobiecej, skłonnej do drobiazgowych i małostkowych rozpaczy, wykorzeni zwyczaj skarżenia się na płamy na obrusie, zaś z życia mężczyzny usunie pewną, może najbardziej bliską strefę jego „piekła“, tragedję domową z byle powodu. Ponieważ nie chce słuchoać, nie chce wiedzieć, co tu się dzieje, jest niedobry, bez serca i za jego to przyczyną będzie, jeśli...

Albowiem pomimo wszystko, co kobieta osiągnęła z dziedziny prawa, pracy a przede wszystkim poczucia wolności osobistej, jakże dotąd często kogoś czyni odpowiedzialnym za swe postęпки!

Ileż z nas, myślałam niedawno, ma swego Toliboskiego. Słabe kobiety, jak Barbara Niechcicowa, niedoskonałość losu zwałają na banki wybranego, który nie kochał.

Jego to wina, że sobie i innym nic zdziałać nie zdoła, naoliwiona zaś cudzą wolą, kręciłoby się mogła długo i z pożytkiem.

O tym porachunku, z życia często do literatury przeniesionym, bardzo ciekawie mówi Halina Dąbrowska; myśli nasze już nieraz się spotkały, nie o dniu swych narodzin nie wiedząc.

Bluszczów dziś być nie powinno, choćby dlatego, że brak silnych dębów. Rzadkie okazy, pozostałe w parkach narodowych, także padają, ciężarem swym przytłaczając wątłe rośliny, ufnie pnące się ku ich szczytom.

Wszyscy z jednej wyrosliśmy gleby; żywny się więc temi samymi sokami, wznosimy się razem ku słońcu — każde o własnej sile. Wyścig ten niech nas łączy, nie dzieli.

Inność mężczyzny i kobiety winna być przyjazna sobie, nie wroga; inność — to bogactwo. Czyż zresztą więcej jest różnic, niż wspólności? Nie generalizujmy cech męskich, bo wiele z nas ma podobne; nie wyodrębniajmy wad — wszystkie jednako są ludzkie; nie podnośmy swych zalet: oni też posiadać je mogą.

Czy to znaczy: nie urządzajmy ankiet na temat „O nowy typ mężczyzny?”

Bynajmniej, choćby dlatego, że zbudzić może drzemiące w nas prawdy — sprzeczne ze swem założeniem.

*Aura Wyleżyńska.*

*(Ratujmy poezję życia).*

Obecny mężczyzna jest typem przejściowym, mieszaniną tradycji przedwojennych i nalotów współczesności. I ostatecznie, przyznajmy się, nie jest z nim tak źle. Coprawda, utrudnia nam jeszcze trochę rozmotanie krępujących więzów, ale naogół dał się już udobruchać, zrozumiał, że ciężar życia łatwiej pchać czterema ramionami. Nie łudzimy się, aby miał ustąpić wszystkich swoich, wiekami utartych przywilejów, ale narazie zawarł z kobietą pakt na warunkach, powiedzmy — przystępnych. Więc powtarzam: nie jest nam jeszcze z nim tak źle; przynajmniej znamy go i nie robi nam niespodzianek.

Niespodzianką natomiast może być dla nas mężczyzna przyszłości, który niedługo opanuje świat. I raczej pozostaje lęk, co nam przyniesie zuchwała młodość, która wkrótce opuści ściany szkół, uczelni, warsztatów. Od niej spodziewamy się i oczekujemy wiele. Zobaczymy, co robi czas, narazie możemy wyrazić swoje pobożne życzenia:

- 1) Na polu pracy — mniej brutalności.
- 2) W domu — więcej przyjaźni i wyrozumienia (kobieta zdwoiła swoje wysiłki, dom nie może jej absorbować całkowicie).
- 3) W miłości...

Ten punkt rozwijam dokładniej.

Przedewszystkiem pochwalmy się jeszcze raz, śmiało. Wspólnym wysiłkiem, uporem, cierpliwością przebiliśmy chiński mur. Na nowej drodze stanęła nowa kobieta. Kobieta zdrowa, energiczna, mądra, śmiała. W całej psychice nastąpił przewrót. Ale istnieje

jedna dziedzina, ulegająca wstrząsom, lecz nie podlegająca niszczącej reformie. Skrycie, trochę nieśmiało ukryta pod pancierzem nowoczesnej nonszalancji — odwieczna tkliwość kobiecej duszy. Istnieje błękitne okienko na świat, zastawione kwiatami marzeń: miłość.

I na tem tle konflikt najgroźniejszy z mężczyzną, konflikt zawsze żywy, a obecnie bardziej zawikłany. Przyznajmy się: każda kobieta, nawet ta najsurowsza, najmocniejsza, chce mieć dla siebie uśmiech kochania. W bezgranicznym męczeniu marzy: móc być przez chwilę „maleńką“, doznać bliskiej opieki, czułości (nazwijmy to słabością, czy siłą kobiecości — kwestja indywidualna). W dzisiejszym dniu pośpiechu i mechanizacji tak bardzo mało czasu na... miłość! Jeszcze trochę, a zapomnimy, że życie jest nietylko ciekawe i mądre, ale i piękne!

Bądźmy szczerze: trochę nam brak, trochę nam żal tej *poezji*. Wina w nich, w nas, w ustroju społeczeństw. Mężczyzna syty, pyszny, cyniczny; kobieta, pragnąca mu dorównać. A będzie jeszcze gorzej: koedukacja, współzawodnictwo, wspólne warsztaty pracy — te konieczne formy współczesnego życia — przyniosą niebezpieczne następstwa zubożenia. Małżeństwo przybierze nowy charakter *umorowy*, wspólnego *koleżeństwa w miłości*. Dojdziemy do absolutnej prostoty, do logicznego rozwiązania usiłowań dziesiątków lat. Nie wolno tego nazywać złem, oczywiście, ale wolno się pożalić, że przy odbudowie potężnego gmachu zniszczono precyzyjny fresk.

Ale jeszcze czas; jeszcze mężczyzna przyszłości nie opuścił rodzinnych legowisk, matczynych ramion, szkolnych bram. Niestety, matka ma coraz mniej „do gadania“. Synalek, jednak, pobijający rekordy sportowe, posiadający wszystkie rozumy, płacący rachunki domowe — jest nietykalmem bóstwem. Jest zuchwały i silny. To on wprowadza do cichych ścian domu zamęt wielkiego świata i rujnujących reform, on wymiata koleczastymi słowami czule skrupuły matki, on ma pierwszy głos.

Matce do pomocy musi stanąć ktoś mocniejszy. A kto? Właśnie ta koleżanka, ta piękna młodość, ciągnąca ku sobie pierwsze żądze męskie. Instykt zwycięży wszelkie reformy ustrojów. Może nie rozumiemy dostatecznie, ile można na tej potędze budować. Ale właśnie budować!

Młode kobiety, dziewczęta — kończę apostrofą do was. Od was w dużej mierze zależy, jak was oceni mężczyzna przyszłości. Ratujcie *poezję życia*! Nie wolno dla przypodobania się, w konkurencyjnym biegu z przeszkodami, naśladować nonszalancji waszego towarzysza. Zwalczyliśmy tak dużo! Zwalczmy teraz groźne niebezpieczeństwo najbliższych dni: profanację piękna, uroku kobiecości. Same musicie zasłużyć i zapracować na szacunek i przyjaźń.

Precz z cynizmem, miernotą miłości! precz z pyśzałkowatą nonszalancją! Jakim będzie wasz uśmiech, jaką będzie wasza powaga — taką będzie twarz *nowego mężczyzny*.

*Jadwiga Korczakowska.*

# Cienie wieczoru

POWIEŚĆ

ZOFJA KL NICKA

4)

Chciałaby mieć głowę pełną pogodnych, lekkich myśli, pamiętać tylko o tem, że dzień jest piękny, że dobrze jest żyć, dobrze mieć ładne niebieskie oczy i zdrowe zęby. Miała też wielką ochotę na limonjadę cytrynową, ale przestraszał ją nadprogramowy wydatek 30 groszy.

— U Bawlewiczowej poproszę o szklanekę zimnej, czystej wody — pomyślała na pociechę.

Symcha przy sobocie sklep naturalnie zamknęła. Spacerowała z przyjaciółką po ulicy, obydwie w jedwabnych sukniach, przed nimi małe, blade i czarnoookie wnuki.

— Pani Symcho — Ceśka zaczęła nieśmiało — ja jutro rano wyjeżdżam. Wpadnę po pieniądze, bardzo mi są potrzebne.

— Dobrze, dobrze, już ja przygotuję — dobrotliwie odrzekła kupcowa.

Obydwie patrzyły wślad za oddalającą się dziewczyną, lekko na jeden bok przegiętą od ciężaru pakunku, w niemodnej sukieneczynie i krzywym kapeluszu.

— Jej tate był bogaty, a familja goła. Gdzie ich majątek?

Czasami przelatywało prywatne auto w kurzu, w zapachu benzyny. Było wizją wykwintnego, nieprzystępnego świata. Twarze siedzących w nich należały do innych istot, niż ci ludzie, którzy zapelniali chodniki, wchodzili do sklepów, do bram. Ceśka wiedziała, że oglądać ich może tylko zdaleka, że się z nimi nigdy nie spotka i to nadawało im cechę pięknej fantastyczności.

O ileż bliżsi byli ci na bryczkach, zaprzężonych w ładne, gładkie konie! Tak przecież sama jeździła w Porębie. Wozy ciężarowe tłukły bruk wielkimi kołami, wioząc cegłę, puste beczki, albo przeraźliwie brzęczące żelazo. Gdy przejechały — zalegała zabawna cisza; przez długie minuty słycać było tylko gwar przechodniów i stuk obcasów o chodniki.

Główna ulica miasta — Warszawska, Kolejowa, lub Krakowskie Przedmieście — dążyła mozolnie ku wzniosłości, na której w ogrodzie, wśród starych jezuickich drzew, panowała Katedra.

Unikając coraz bardziej zwartego sobotniego tłumu Ceśka skrzyła w cichą, boczną uliczkę. Była bardzo

zmęczona, gdy stanęła przed kamienicą, gdzie mieszkali Bawlewiczowie.

Bawlewiczowa, żona urzędnika, siedziała na balkonie i uśmiechnęła się do niej przyjaźnie. Drzwi, otwarte na schody, udzielały sąsiedom zapachu bielizny dziecięcej. W jadalni, skromnej i czystej, spał na sofie Bawlewicz w granatowym ubraniu, lecz bez kurtki. Ponad poręczą sterczały jego nogi, połyskujące barwnymi skarpetkami ze sztucznego jedwabiu.

Alby go nie obudzić, Ceśka przemknęła się wśród ogłuszającego chrapania do sypialni, pełnej łóżeczek, zabawek, ubranek i małych dzieci. Przez otwarte drzwi balkonu widać było złotawe powietrze, zielone gałęzie klonów zprzeciwka, czerwone pelargonje w skrzynkach i wśród nich Bawlewiczową, zajętą cerowaniem skarpetek męża. Trochę maleńkich koszulek i majteczek suszyło się poza nią dyskretnie na grzbietach krzesel.

Bębny podbiegały co starsze, witając gościa. Najmniejsze stały z paluszkami w zębach, drobnych, jak u myszy — nieufne i już nie pamiętające, z kim mają przyjemność. Ceśka podnosiła je pokolei do góry, z satysfakcją całując chłodne, niby z porcelany, okrągłe i gładkie buzie.

Bawlewiczowa wyglądała mizernie. Jej delikatna cera straciła na świeżości, a był to jeden z największych atutów tej młodej kobiety, o żalonych, wystraszonych oczach i szarawych blond włosach. Bawlewicz przed kilku laty przywiózł żonę z Warszawy wkrótce po ślubie. Poprzedzała ją sława, że skończyła szkołę tańca, i każdy w mieście wyobrażał ją sobie nie inaczej, tylko nawpół naga, umalowaną różem i karminem, uwodzącą mężczyzn zapomocą „entrechat” i innych postaw klasycznego baletu.

Tymczasem ujrzeni wysmukłą, elegancką dziewczynkę, nieładną, nieśmiałą, nieprzytomnie zakochaną.

Przyobiecany mająteczek na granicy rumuńskiej rozwiął się, jak miraż, zato dzieci realizowały się szybko i w dużej ilości. Niedoszła tancerka czuła w sobie zew (jak gdyby metafizycznego macierzyństwa, nigdy nienasyconą tęsknotę matki Cybeli do wyrzucania nowych iskier życia.

Możnaby mniemać, że wszystkie jej zasoby niewykorzystane, miłość, tak szybko strącona z górnego szlaku, rozczarowania, głuchy opór rzeczywistości — to właśnie ją zapędziło do przystani, gdzie cierpienie staje się nowym życiem, a możliwość miłosnego rozdawnictwa bardziej cudowna, niż pięcioryb i pięcioryb chleba dla tysiącznej rzeszy.

Bawlewiczowa dzieliła się wciąż między niemowlęta, z których wyrosnąć kiedyś mieli dalecy, nieznanymi ludziami, nie pragnąc w nich nieśmiertelności, jak to zwykle bywa, lecz jakiegoś rozsąfowania się, roztopienia, jak gdyby ciążyła jej własna indywidualność. Jak gdyby jedynym jej życzeniem było zniknąć, przekształcić się tak, jak płynny nawóz przekształca się w substancję młodych roślin.

Ucieszyła się szczerze na widok Cesi i ucałowała ją serdecznie. Ubrana w podniszczoną sukienkę etaminową i szal na ramionach, pachniała trochę dziećmi, trochę mydłem do prania.

— Taka jestem pani wdzięczna — rzekła, odbierając tobolek — bo nie mogę nadażyć z cerowaniem, a Frania nie miała czasu pójść. Strach, jak te dzieci dra i maż także. Niech pani siada. Przyjemnie na balkonie, tyle nieba widać i słońce już nie pali. Co słycać, panno Cesi?

— U mnie nic, chwala Bogu. Mama zdrowa, Domcia tylko miała trochę kataru. Pracuję w ogródku. A co u państwa? Jakoś pani zmierzniała. Może to od upału?

Bawlewiczowa smutnie potrzęsła głową.

— Nie, ja bardzo lubię słońce i gorące dni. U nas w Besarabji jakie bywały piękne miesiące! Mroźna zima, gorące lato. Wyjechałam stamtąd małą dziewczynką, ale pamiętam. Tak się dobrze pamięta powietrze swoich dziecięcych lat, jak gdyby pozostało we krwi.

— A za Warszawą pani nie tęskni?

— Z początku strasznie tęskniłam. Tylko, że ja tak kochałam Stacha, że i na Syberję byłabym za nim pojechała. A potem... No, pani wie, panno Cecyljo, na tęsknotę trzeba mieć czas. Dzieci mi nie dają. Jedno odchowam i postawię na własnych nogach, już drugie potrzebuje

odemnie każdej kropli krwi i każdej minuty dnia.

Bawlewiczowa, nie przestając czerować, mówiła z łagodną rezygnacją. Kiedy dzieci z krzykiem dopadały jej kolan, uciszała je, bojaźliwie oglądając się na drzwi do jadalni.

— Stach jest przemęczony. Na sierpień weźmie urlop i pojedzie do Krynicy. Ja z dziećmi — na wieś. Wynajeliśmy mały domek niedaleko stąd, w sosnowym lesie. Ja nie lubię takiego lasu, ale dla dzieci zdrowa sucha miejscowość.

— Może się pani zato wybierze na karnawał do Warszawy?

Ceska szybko wyobraziła sobie coś pięknego, coś znanego tylko z powieści, z gazet: salę balową, jasną, jak wielki brylant, smukłych panów, ubranych w czarne fraki, mnóstwo tkanin, nagiej skóry kobiecej, chmurę słodkiej muzyki.

Ale Bawlewiczowa znowu potrząsnęła głową i zamyśliła się, trzymając igłę nawleczoną w rękę.

— Kiedy pani tu przyjechała — rzekła nieśmiało Ceska — zawsze marzyłam, żeby zobaczyć, jak pani tańczy.

— Ach, to już było tak dawno, ten mój taniec! Czas, może pani sama to zauważyła, kurczy się i rozciąga. Raz życie bije w niego młotem, jak kowal w sztabę, rozklepia go, wydłuża. Potem scala, skuwa na gorąco. Zdaje mi się, że żyję już strasznie dawno i dziwię się, że moje dzieci takie jeszcze małe, że to dopiero ośm lat, jakjechałam z Warszawy, tu na prowincję.

— Wyrzekła się pani bez żalu?...

— Stach, jak tylko zaręczyliśmy się, zabronił mi stanowczo wszystkich publicznych występów. Nie mogę nawet powiedzieć, aby mi to wówczas sprawiało przykrość, chociaż uchodziłam za zdolną i marzyłam o scenie. Ale... w miłości kobiety jest tyle egzaltacji, tyle rozkoszy w samej myśli o ofierze!.. Wymyśliłam też sobie o innego: Stach zmęczony powraca z biura. Leży na sofie i wypoczywa. Późny wieczór, pali się lampa różowa... a ja tańczę dla niego. Jest jakiś patefon, albo radjo, przebiegam się wciąż w nowe jakieś tiule, szale i tańczę tylko dla niego...

Jakież dziewczęta są głupie. Kiedy mu to raz zaproponowałam w parę tygodni po ślubie, poprostu płakał ze śmiechu! Nawet patefonu nie miał. Ani lampy różowej. Głupie, głupie dziewczęta.

— No, a teraz, teraz?

— Och, nie. To już jest dola. Kocham moje małżeństwo, kocham Stacha, Jestem dojrzałą, doświadczoną kobietą. Dawniej, jako narzeczona, młoda żonka, kochałam widziadło, niespodziankę w życiu, mój własny

udział w romansie, który dotąd znałam tylko ze słyszenia. Teraz kocham człowieka. Rozumiem więcej, nauczyłam się. A że czasami boli?... Każda nauka jest ciężka...

Bawlewiczowa miała łzy na rzęsach, nos i powieki zlekka zaczerwienione; była w tym smutku jeszcze brzydsza, jeszcze bardziej żalonna.

We drzwiach balkonu stanął jej mąż. Zaraz ucichł świegot dzieciarni — znały widocznie mores przed ojcem. Był rumiany ze snu, na twarzy miał wyraz wypoczynku i zadowolenia; ciemno-złociste, bujne włosy zlekka potargane. Uchodził za pięknego mężczyznę i cieszył się wielkim powodzeniem u kobiet, z którego podobno korzystał chętnie. Trochę niedbale przywitał się z Cesią. Zdaniem jego, nakazy kurtuazji nie zawsze obowiązywały, np. względem własnej żony, lub tego ubogiego, pracującego stworzenia, które w dodatku było już trochę starą panną.

— Może nam pani truskawek przyniosła?

Ceska zaczerwieniła się.

— Nie, tylko pończochy.

— Ale ja, Stachu, mam dla ciebie jeszcze wczorajsze.

— To daj, kochanie, z cukrem i z mlekiem. Przynieś mi tutaj. Jakie miłe powietrze.

Zajął opuszczone przez żonę krzesło i pilnie przypatrywał się pelargonjom w skrzynce.

— Tu są mszyce. Trzeba, żeby Irenka przygotowała odwaru z tytoniu. Ja jednak bardzobym panią poprosił o świeże truskawki. Doskonale mi robią. Czy można jutro przysłać Franję?

— Dobrze — odpowiedziała Cesia. — Wprawdzie wyjeżdżam, ale wstanę rano i uzbieram.

Weszła Bawlewiczowa, a za nią troje starszych dzieci. Stały cichutko i patrzyły na talerz łakomie.

Ojciec wyjął kilka jagód, umoczył w mleku, posypał cukrem i dał każdemu po dwie.

— A teraz marsz, bębny, marsz i nie patrzeć mi w oczy, jak szczeniaki, bo tego nie znoszę.

— Idźcie się bawić, jeszcze zostanie dla was — łagodnie mówiła matka, gładząc ich miękkie włosy i poprawiając sukienki.

— Tylko grzecznie, tylko cicho, bo zemną będzie sprawa. Władysław pamięta wczorajsze klapsy? He? Ach, panno Cecyljo, gdyby który z nas naprawdę miał pojęcie o tem, co to jest małżeństwo, takbyście nas łatwo nie łapały.

— A któż łapie? — zapytała Cesia z przykrością.

— Każda, każda. Najczystsza dziewczica, gdy mówi „miłość” — ma na myśli przyszłe gniazdko i swoje potomstwo. To nie wy potrzebujecie

uświadomienia, to my. Jedną, człowieku, wzięłeś do swego domu, a nim się obejrzyś, już wszystkie kąty pełne drobiazgu. Karm, ubieraj, dawaj pieniądze i uciekaj z pod własnego dachu. Niebezpieczne jesteście, moje panie, z waszą mnożnością...

Bawlewiczowa stała blada, usta jej się krzywiły.

— To nietylko od nas zależy — cicho odpowiedziała. — Pocóż się zenicie?

— Pocóż nas ciągnięcie, wy i wasze mamusie i wasze ciotki?

— Jak można, panie Stanisławie!

— Jak Boga kocham. Moja żona pierwsza.

Cesia próbowała wszystko w żari obrócić.

— O, co do pani, to nigdy nie uwierzę.

— Nie oświadczyłaś mi się pierwsza, Irenko? Może nieprawdę mówię? Kto za mną chodził, jak cień? Kto kwiaty przysyłał? Raz róże, a raz tulipany? Wkońcu przychodzi sobie panienska i powiada, że kocha. Rób, człowieku, co chcesz, ale ona kocha. Cóż z tym fantem zrobić? Człowiek się rozczulił, zagapi i już narzeczony, już się termin ślubu naznacza. Mama ścisła i płacze, tatko złote góry obiecuje: „ptasiego mleka chyba wam zabraknie!”. No, już te wasze posagi w powietrzu, to ze wszystkiego najgorsze. Zastrzegalem: musi być przynajmniej samowar.

Bawlewiczowa zerwała się nagle i wybiegła. Ceska dostrzegła, że wyciąga chustkę z kieszeni i zakrywa twarz. Bawlewicz wzruszył ramionami.

— Nerwy. Nie wolno pożartować.

Cesce zrobiło się żal młodej kobiety i poszła jej szukać. Znalazła Bawlewiczową w ciemnej sionce za sypialnią. Oparta o ścianę, szlochała. Ceska objęła ją i tuliła. Porywiste, niepohamowane łkanie wstrząsało ciałem, które zamykała w swych ramionach; twarz gorąca i zalana strumieniem łez, uciekała od pocałunków.

— Niech pani nie płacze, pani Ireno. Pan Stanisław z pewnością nie chciał pani zrobić przykrości. To wszystko żarty.

— Zawsze te żarty przy ludziach. To boli. Ja nigdy nie wiem, kiedy on kpi, kiedy mówi na serjo. Ja znów się spodziewam czegoś małego i taka jestem słaba i rozdrażniona. Ośm lat małżeństwa i szóste dziecko... Czy to moja wina? czy tylko moja?... POCO te docinki, te przypomnienia? Wciąż trzeba słuchać i milczeć...

Bawlewicz otworzył drzwi; smuga dnia wchodzącego wtargnęła do ciemnej sionki. Podszedł do żony, wziął ją za ramiona, całował po zapłakanej twarzy.

(d. c. n.)

# WARSZAWA PO LATACH SIEDEMDZIESIĘCIU

## KRZYŻ TRAUGUTTA

Pytam, zdziwiona:

— Gdzie jest krzyż Traugutta?

Jest na stoku cytadeli, wielki a ukryty, zagubił swój kształt w krwawiących się już bluszczach. Kolysany wiatrem, szumi jego cień, o wczesnym jesiennym zachodzie słońca bardzo długi i szeroki, opieką swą obejmując wszystkich tu straconych.

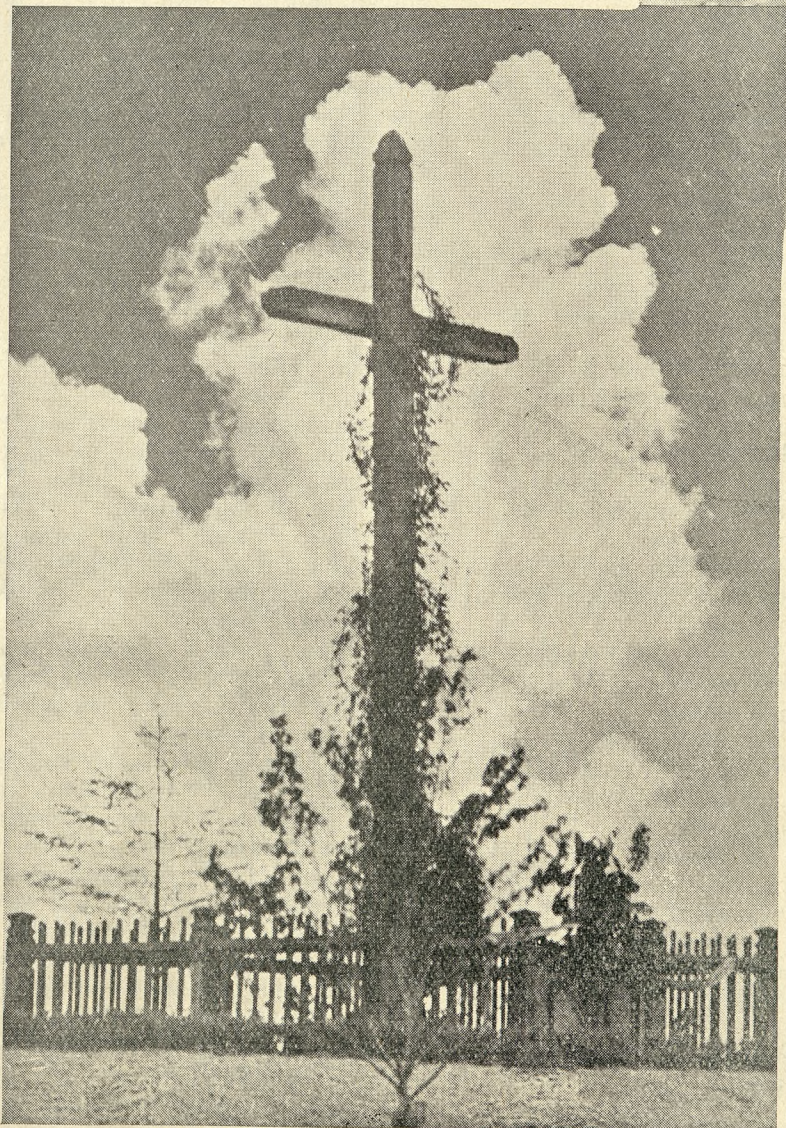
W tym styczniowym dniu widzę coś zgoła innego.

Teraz zima odarła zasłony, drzewo Męki nagie stoi, znak surowej wytrwałości, bez ruchu trwa i w milczeniu. Śnieg siwizną przysywał szczyt, osiadł srebrem na cierniowej, żelaznej koronie, zawieszanej na skrzyżowaniu ramion.

Tablica kamienna — to biały płat, pod którym mieszczą się sło-



*Krzyż Traugutta po obchodzie styczniowym.*



*Krzyż Traugutta jesienią.*

wa radosnej czci; sosenki-choinki, puchem nieba przybrane, z wieńcami o ponsowych wstęgach, straż trzymają przed drewnianą furtką.

Patrzę na krzyż, a potem na świat, przyciszony stalową mgłą.

Przedemną w biegu stężała Wisła, ujęta w dwa wybrzeża: gdańskie i helskie; dachem tylko zdradzająca swe podziemne istnienie Cytadela, skład broni niegdyś, śpi-chlerz buntu; ten olbrzymi gmach napół szklany, napół cementowy — to mennica; architektura godna polskiego Le Corbusier'a; tam dalej w olbrzymi blok złane, czterdziestotysięczne miasto — jeden z cudów odrodzonej Polski — Żoliborz, na miejscu sentymentalnego „Joli Bord”.

Wokoło życie, zimowe, sportowe, wesołe.

Dźwięczą dzwonki sanek, droga w nich — to zabawa, niczem na „montagnes russes” w paryskim Lunaparku; dzieciaki z każdej zjeżdżają górki; dziewczęta, jak Pustowojtówna, ubrane po męsku, śpieszą



na ślizgawkę w nowozałożonym parku. Z płyt gramofonowych płynnie tak plastyczny foxtrot, iż, słuchając tej muzyki, widzę na łyżwach tańczące pary.

Wracam pieszo; idę po Warszawie, jak chodzi się po nieznanym mieście, przyglądając się odświętnej jego duszy.

Stary Rynek, głośnie od hałasu nowych barw, które pokryto dostojnymi murami. Fukier, gdzie wiekowym miodem polski Pen-Club raczy europejskich swych kolegów. Zamek, pełen odzyskanych skarbów, gdzie Pan Prezydent udziela audjencji przedstawicielom obcych mocarstw.

Szukam domu, w którym mieszkała Gabryella. Nie umie go wskazać panna, sprzedająca futra, których pełno na Miodowej ulicy, ani świeżo z prowincji przybyły policjant.

Z jakiejś bramy wychodzą chłopcy — lat 15, 16 w studenckich czapkach.

— Panowie nie wiedzą...

Wysuwa się jeden:

— Jest gimnazjum żeńskie imienia *Cecylji Żmichowskiej*...

— To nie ta... Napewno nie ta...

Znalazłam sama. Na Miodogórze musi być w tej chwili tak cicho, jak wówczas, gdy poetka opuściła stolicę, aby wśród sosnowych lasów, porastających smutne piaski mazowieckie, nie wiedzieć, nie myśleć o tych, których szaleństwa się bała.

Nie wiedzieć, jak krew najbliższych, bo przez serce wybranych, purpurą plami śnieg.

Dziś walka z przemocą wroga — daleka, po latach — szczęśliwie zakończona. Jest wolność, ojczyzna wrócona. Ambasady, obok swoich barw, wywiesiły biało-czerwone — wszystkie domy cichym szeptem chorągwi hołd składają przeszłości.

W katedrze, gdzie niegdyś zabronione były żałobne pienia, rozleśły się dziękczynne modły. Organizacje i Stowarzyszenia poszły pod Krzyż Traugutta. Audycje tej uroczystości całej Polsce, a, jeśli zechciała słuchać, całej Europie, powtórzyło radio. Odczyty przypominały historję powstania; wypadkom, które żyły całe pokolenia, przyjrano się w zwierciadle literatury. W Muzeum Narodowym otwarto wystawę pamiątek; przed Weteranami 65 r. odbyła się defilada kompanij honorowych i pocztów sztandarowych; w domu, gdzie mieszkał Traugutt, wmurowano tablicę.

„Z tego niepozornego domu promieniowała i biła nadludzka energia, niewzruszona wiara i olbrzymie siły moralne, zaprzeczające potężnemu carowi prawa do Polski. Ta energia i siła moralna sięgała stąd w dalekie krańce Polski, w odwieczne puszcze, grzmiące strzałami powstańców, wkładała w mdlejące, znużone dłonie, z których broń wypadła, tę broń z powrotem. Ona tworzyła w wyobraźni wroga

groźną legendę o polskim rządzie narodowym, a z siedziby dyktatora, a więc z tego domu, robiła jakiś potężny gmach, pełen tajemnic i wielkości.

Tron białego cara runął. Siła moralna, idea żyła. Ona przywiodła nas do tej tablicy. Treść tego napisu będzie mówiła najdalszym pokoleniom o Polaku, który, tu pojmany przy pracy dla Polski, poszedł na śmierć za Polskę i który sądził, że Polska więcej jest warta, aniżeli jego życie“\*).

Jest jeszcze spora gromadka weteranów. Jedni prosto się trzymają i wysoko noszą siwą głowę; inni już ku ziemi bardzo pochyleni, uginają się pod brzemieniem wielu krzyży, spadłych na ich barki. Wszyscy ubrani w jeden uniform, mundur ułanów powstańczych: granatowy, z amarantowymi rabatami, srebrne guzy. Młodzież starości silnego używa ramienia, kobiety otaczają uśmiechem swej pieczy; ci z poprzedniego pokolenia, którzy stworzyli obecną Polskę, z dumą mówią: „Wszyscyśmy z Was“.

A oni patrzą rozumnie, już bliższe zaświaty widząc oczyma, na swą prawie dziecinną przeszłość z przed 70-ciu laty i na trudny wysiłek ciężkiego dzisiejszego dnia.

*Aura Wyleżyńska.*

\*) Z przemówienia generała Rządzińskiego.



Odświeżenie tablicy pamiątkowej przez p. Marszałkówną Pilsudską na domu przy ul. Smolnej-Dolnej, w którym mieszkał Traugutt.

## W SCHRONISKU DLA WETERANÓW

Spotkałam dawną koleżankę z kursu dla Sióstr Pogotowia Sanitarnego. Powiedziała mi, że jest kierowniczką Schroniska dla Weteranów 63-go r.

— I wie Pani? Powinna Pani przyjść to zobaczyć. Bo to się już kończy, staruszkowie wymierają.

Obiecałam, że przyjdę.

Ul. Florjana 2. Duży gmach narożny. Parter zajęty przez „Dom Wdów”. Inwalida w sieni radzi iść na górę, potem we drzwi na prawo, a potem korytarzem do kancelarii. W kancelarii już czeka p. Hopferowa (kierowniczką) i p. Korsakowa, wizytatorka z Polsk. Czerwonego Krzyża.

Opowiadają, że miejsce jest w Schronisku dziewiętnaście, ale weteranów już tylko dwunastu i więcej już nie będzie. Co się dało wybrać z całej Polski — wybrano.

Mieszkańcy Schroniska korzystają tu z troskliwej opieki i absolutnej swobody.

— Jakto? Wolno im wychodzić samym na ulicę? Nie wpadną pod pierwszy przejeżdżający samochód?

— Ale skąd? Niech się tylko weteran w mundurze na ulicy pokaże, zaraz powstaje szpaler, jak przy przejeździe Prezydenta. Wszyscy ustępują mu miejsca, przeprowadzają przez jezdnię. Tramwaje i autobusy zatrzymają się na skinienie weterańskiej łaski. Społeczeństwo polskie otacza te żywe zabytki styczniowego powstania religijnym niemal kultem. Jak żywe relikwie.

Do kancelarii dolatują urywane dźwięki sentymentalnego walczyka.

— Kto to gra?

— Jeden z weteranów. Chce pani zobaczyć?

Naturalnie, że chcę. Idziemy do świetlicy. Jasnej, przestronnej, pełnej zielonych roślin. Przy pianinie mały, biały, pokurczony staruszek usiłuje dobrać melodię „Boże, coś Polskę”...

Ukazuje się inny starszy pan, cokolwiek lepiej zakonserwowany i niezmiernie szarmancki.

— O, pani przyszła nas odwiedzić. To grzecznie.

Radabym się czegoś dowiedzieć o powstaniu. Ale to dla starego pana temat mało aktualny. To było już tak dawno! Woli mówić o ostatniej wojnie. A wogóle to mu się wszystkie sprawy cokolwiek płączą.

— Nie pamiętają — powiada pani Korsakowa. — Przeważnie nie już nie pamiętają. Tacy są już starzy. I za bardzo absorbuje ich teraźniejszość.

— Taaak?

— A tak. Radjo, kino, popołudniówka w teatrze, spór o względy pielęgniarki. Cóż pani chce? Życie.

Idziemy złożyć wizytę jedynej kobiecie-weterance. Wyobraźnia zaczyna galopować. Cóż za udział brała w powstaniu kobieta? Była siostrą miłosierdzia, emisarjuszka?... ukrywała zbiegów we własnej sypialni? A może, jak Emilja Plater, wiodła powstańcze oddziały?

Niewiadomo. Nie pamięta. Nic już nie pamięta.

W głębokim fotelu przy oknie siedzi otulona w pledy, siwiuteńka staruszka. Mogła być niegdyś ładna: nos, obciążony skórą żółta, jak stara kość słoniowa, zachował kształt foremny, precyzyjnie rzeźbiony. Wyblakłe oczy są osowiałe, jak u umierającego ptaka.

Nie zdaje się wcale reagować na nasze wejście, ani na słowa nieodstępnej pielęgniarki.

— Pani Daniłowska jest dobra, grzeczna; bardzo grzeczna. Pani Daniłowska! gość się z panią żegna.

Bardzo nieśmiało ujmując drobną, chłodną, bezwładną rączkę. I naraz, zaciśnięte, blade wargi poruszają się i recytują tak bardzo salonowo:

— Dowidzenia pani. Dziękuję za odwiedzinę. Proszę o mnie nie zapominać.

Napewno nie zapomnę.

Weterani mieszkają w obszernych, jasnych pokojach. Mają miękkie, koszykowe meble, wygodne łóżka, radjo, głośniki... Niektórzy wolą słuchawki, „bo cieplej w uszy”. W pokojach napalono, jak w łaźni, lecz oni narzekają na chłód.

Wspomnieniami z powstania żyje tylko Krystofik, niegdyś stangret, który bił się wraz ze swoim dziedzicem.

— To my, prośe łaski paniusi, jachali z moim panem... jachali bez bór, kole Pilicy... kole Pilicy...

— Niech się pan nie męczy, panie Krystofik.

Pan Krystofik męczy się, ale musi mówić, musi z trudem wspominać, błakając się w dalekich szczegółach, potykając się o nawal wspomnień. Musi opowiedzieć, jak to ich kozacy otoczyli, i jak wpadł w ich ręce, i jak go katowali... I jak on, Krystofik, nie wydał ukrytego we dworze dziedzica.

— To ja krzyczę: — powiem, powiem!.. To oni sfolgują. A ja: — nie wiem, nie wiem, nie wiem... To mnie znów nahajami działali. Ale nie powiedział, boby oni ten dwór spalili...

A wśród tej zamierającej przeszłości — pogodnie uśmiechy na twarzach pani Korsakowej i Hopferowej.  
*Jadwiga Kiewnarska.*



W schronisku dla weteranów. — Czytanie gazety.

# U WAS I U NAS

Z CYKLU: „SYLWETKI WSPÓŁCZESNYCH AUTOREK ANGIELSKICH“

SHEILA KAYE - SMITH.

Jedną z cech charakterystycznych współczesnej literatury angielskiej — która niewątpliwie wyraża zmianę ogólnych nastawień i nastrojów życia społecznego Anglii — jest przebudzenie się uczuciowości. Dawna angielska powściągliwość uczuciowa, pruderja i pewne zażenowanie przy traktowaniu spraw miłości, zdają się być wypierane coraz silniej przez śmiałość młodego pokolenia pisarzy, którzy po wstrząsie wojny proklamują z uporem i konsekwencją potrzebę szczerości i porzucenia wiktoriańskich przesądów. *Mrs. Grundy* — angielski symbol obłudy i kołtunerji, odpowiadający ściśle naszej *pani Dulskiej* — jest przedmiotem skoncentrowanych ataków młodej generacji.

Nie ulega wątpliwości, że jednym z objawów tego przebudzenia się uczuciowości w piśmiennictwie dzisiejszej Anglii jest tłumny napływ kobiet do szeregów literatury. W epoce wiktoriańskiej czolową przedstawielielką literatury kobiecej *George Elliot* pisała w manierze męskiej i ukrywała swe prawdziwe nazwisko pod męskim pseudonimem.

Autorki Anglii dzisiejszej nie wstydzą się swojej kobiecości i mają odwagę patrzenia na świat i problemy życia własnymi oczami.

Poprzedniczka tej falangi młodych pisarek angielskich jest niewątpliwie zmarła przedwcześnie *Katarzyna Mansfield*, mało niestety znana na kontynencie europejskim. Pisarka ta, jedna z najsubtelniejszych organizatorów psychicznych, jakże zna literatura angielska, pozostawiła po sobie dorobek niewielki, ale zato niezwykle wyczelowany i skondensowany.

Jej drobne utwory, opowiadania i nowele ujawniają nowoczesną metodę psychologiczną i w oparowanej formie zdradzają zdławiony krzyk serca. Następczynie jej poszły dalej w szczerości i otwartości, z jaką ujawniają namiętności i porywy kobiety.

Pełna tragicznej ekspresji *Rebeka West* daje obrazy o niepowседневnej sile, aby w wielkiej powieści pod tytułem „*Sędzia*“ (*The Judge*) — stworzyć wstrząsające studjum duszy młodej dziewczyny. Obok niej wyłania się skomplikowana twór-

czość *Wirginji Woolf*, mistrzyni psychologii, która całą płynną rzeczywistość naszej duszy stara się ująć w oryginalne łożyska, niezależnie od wzorów *Prousta*. Twórczość *Róży Macaulay* przeniknięta jest duchem ironji i fanatycznej wprost pasji tępienia hipokryzji i świętoszkostwa angielskiego. Własnymi torami kroczy wreszcie młoda powieściopisarka *May Sinclair*, malująca subtelnie i trzeźwo dramaty współczesnej kobiety.

Na pograniczu niejako pomiędzy dawną Anglią, pełną zdrowia i sielskiej pogody, a dzisiejszą Anglią, skłóconą wewnątrz i porażoną się z tysiącem problemów, stoi samoistna twórczość *Sheili Kaye-Smith*. Tematem i tłem jej powieści jest Anglia wiejska, farmerskie domy hrabstwa *Kent* i *Sussex*, albo szlacheckie dwory, w których panuje patryjarchalny sposób życia. *Sheila Kaye-Smith* posiada niezaprzeżony sentyment dla idyllicznego krajobrazu angielskiego, dla zieleni ogrodów i łąk, dla zapachu wsi, dla wygody domu angielskiego. Twórczość jej przenika ten element zdrowia i tężyzny, jaki odnajdujemy u pisarzy, którzy żyli się i zrosli z ziemią.

Urok wsi angielskiej pokaże nam *Sheila Kaye - Smith* w powieści „*Joanna Godden*“, której dalszym niejako ciągiem jest utwór pt. „*Małżeństwo Joanny Godden*“.

Jest to zwykła historia kobiety, w której uczucie budzi się późno i wybucha z całą dziką gwałtownością i nienasyceniem. Macierzyństwo jest dla *Joanny Godden* faktem trwogi i radości, gdyż potwierdza jej rację bytu, jej siły żywotne, jej utajoną potrzebę tworzenia. W tych właśnie scenach potrafiła *Sheila Kaye-Smith*, pisarka wstrzeźliwa i trzeźwa, rzucić słowa, posiadające pełnię wymowy i znakomitą prawdę psychologiczną.

Poziomu, osiągniętego w „*Joannie Godden*“, nie dorasta niestety ani „*Małżeństwo Joanny Godden*“, ani powieść pod tytułem „*Przedwczesny zbiór*“ („*Green apply harvest*“).

W tej ostatniej powieści najciekawszym jest studjum religijnego obłąkańca, dowodzące, iż *Sheila Kaye - Smith* ze szczególnym zacięciem studjuje uczucia religijne i wpływ ich na psychikę ludzką.

Pełnią blasku swego talentu zajaśniała *Sheila Kaye - Smith* w znakomitej pod każdym względem powieści pt. „*Upadek domu Alardów*“. Książka ta jest przenikliwym studjum rodziny, która rozpada się i marnieje wskutek tego, że zabrakło w niej ciepła prawdziwego uczucia i że odruchy serca zostały stłumione przez rygor protestanckiego wychowania i protestanckiej wiary.

Autorka angielska maluje po mistrzowsku pustkę, jaka panuje w domu Alardów, tęsknotę dzieci za uczuciem ojcowskim, konflikty, w jakie wpadają młodzi członkowie rodziny Alardów wskutek braku prawdziwej opieki i wyrozumienia. W tej duchowej depresji kierują się oni ku religii katolickiej, w której widzą bardziej ludzkie pojmowanie świata i większą litość i wyrozumiałość dla człowieka. Religia ta przemawia do nich barwnością i ciepłem swoich obrzędów, przystępnością swojej liturgji i uczuciowym nutem, jaki płynie w jej nauce. „Chrześcijaństwo, poczęte z katolicyzmu — powiada jedna z postaci tego utworu — stoi mocno na nogach, ponieważ należy do porządku rzeczy, nie ulegających zmianie. Urobione jest ono z tego samego materiału, co nasze serce“.

„Upadek domu Alardów“ jest protestem przeciwko purytańskiej surowości, która dławii elementy uczuciowe naszej natury, przeciwko pogwałceniu władz serca i propagowaniu absolutnego opanowania i oschłości. Zwrot do katolicyzmu, jaki zaznacza się w tej powieści, nie jest bynajmniej czemś odosobnionym w twórczości dzisiejszej Anglii. Swoje sympatje dla katolicyzmu zadokumentowała *Sheila Kaye-Smith* w całej pełni, przyjmując religję katolicką.

Dziela tej pisarki o wielkich ambicjach i samoistnym spojrzeniu na świat nie są, niestety, znane z przekładów polskim czytelnikom. Należałoby jaknajśpieszniej przyswoić zwłaszcza „Upadek domu Alardów“, aby dać w ten sposób możliwość spojrzenia w oblicze duchowe tej autorki, która stoi w pierwszym szeregu współczesnych pisarzy angielskich.

Zbigniew Grabowski.

# SIEROTY PO PRACY

Leży przede mną gruba księga. Przeszło 600 stron. Książka poręczająca i monumentalna, ciosana rozpaczliwymi uderzeniami serc w bloku ludzkiej niedoli. Przytłaczający akt oskarżenia na nasz ustrój społeczny. Dokument osobisty tysięcy ludzi, wyrzuconych poza nawias życia — nie z własnej winy. Hymn na cześć pracy, wyśpiewany słabnącymi głosami tych, którym prawo do tej pracy odebrano.

Prostu: „Pamiętniki bezrobotnych”, wydane przez Instytut Gospodarstwa Społecznego.

Dwa słowa o genezie książki.

W grudniu 1931-go roku I. G. Sp. ogłosił konkurs z nagrodami na pamiętnik bezrobotnego. Do dnia 15-go stycznia 1932-go nadeszły 774 prace. Z tych ogłoszono narazie 57, najbardziej znamiennych.

Na 57 ogłoszonych pamiętników jest sześć, wyraźnie sześć — pamiętników kobiecych. Dysproporcja zupełnie zrozumiała. Tłumaczy ją zarówno nieśmiałość i nieufność kobiet ze sfery pracowniczek fizycznych do piśmiennego i publicznego formułowania swoich zwierzeń, jak i fakt, że uświadomienie społeczne napewno jest wśród nich znacznie niższe, niż u mężczyzn. Te, co przemówiły, dały dowód odwagi; najczęściej była to odwaga rozpacz, która z tych zeznań, traktowanych przez autorki jako ostatnia deska ratunku, wydobyla szczery, niezafalszowany snobizm literackim, patos nagiego faktu.

Weźmy dla przykładu tę pierwszą z kolei: „Pracownica, mająca się wszelkich robót, ostatnio jako krawcowa, zamieszkała w Warszawie”.

„Oto jest opis mojego życia szczerzy i prawdziwy. Jest to spowiedź matki, która walczyła, borykała się i boryka się z losem od osiemnastego roku życia”.

Posłuchajmy tej spowiedzi. Czternastoletnia dziewczynka traci matkę. Ojciec żeni się poraz drugi. Macocha chce ją wydać za swego syna. Dziewczyna go nie lubi. Wychodzi zamaż za wdowca, starszego od niej o dwadzieścia lat, bez zawiadomienia ojca i macochy; kupuje sobie używaną suknię i bierze ślub za indultem.

„Ja poznałam, że swego męża nie kocham, zaraz po ślubie, ale wiedząc, że on mnie kocha, byłam uległa i cicha... Byłam przekonana, że tak być musi, bo ja mu przysięgałam posłuszeństwo. Otóż wyniki były takie, że miałam ośmioro dzieci”.

Mąż, zdolny technik, rzuca się na wynalazki. Ostatni grosz wydaje na skonstruowanie „perpetuum mobile”. Podczas rozruchów robot-

niczych aresztują go przypadkowo. Żona jest w odmiennym stanie, dzieci ma już czworo. Idzie do naczelnika żandarmerji prosić o zwolnienie męża.

„On mi odpowiedział, że może dałoby się coś zrobić, lecz ja muszę z nim wypić herbatę i iść na kolację. Ja na to odpowiedziałam, że mam dzieci, które kocham, że wola Boża, co będzie z moim mężem, lecz na kolację z nim nie pójdę. Poszłam na komorne pracować. Mróz był duży. Ja codzień rano wstawiałam o czwartej, dzieci śpiące ubierałam, karmiłam i układałam spać, bo sama codzień musiałam zdobywać numerki, wyciągając rękę, żeby ten, kto dawał numerka na codzienną pracę, zobaczył mnie i dał numerki. Boże, jaka ja byłam szczęśliwa, bo miałam zarobić 40 kopiejek, i ja codzień za to kupowałam chleb, cukier, kartofle i tak pracowałam, a żeby utrzymać dom i tak przeszło 3 miesiące”.

Mąż wraca; wszystko, co zarobi, wydaje na swój wynalazek. „A tu wojna, wszystko się zmarnowało, sprzedało; licytacja, brak i nędza. Miałam różne projekty ze stroni Niemców, ale tak ich nienawidziłam i brzydziłam się, że wolałam jeść tę zupę” (komitetową). „Ja jednego razu, idąc ulicą koło herbaciarni, weszłam też na herbatę z dziećmi i widzę, że piją herbatę, a nie mają chleba. Pomyślałam, co by tu zrobić i wymyśliłam pierwszą placki kartoflane; zaczęłam kupować kartofle i smażyłam placki kartoflane po dziesięć groszy. Miałam takie odbycie, że za ogonkiem przychodzili kupować i tak zarabiałam dwa tygodnie. Razu jednego wychodzę, a tu już ze dwadzieścia kobiet sprzedaje po sześć groszy i po cztery grosze, bez porównania gorsze i małe, lecz tanie, to ja już przestałam piec, bo już nic nie mogłam zarobić. Poszłam pracować, lecz nie bardzo umiałam, bo w swoim czasie sama nie prałam nigdy, lecz dla dzieci robiłam wszystko, bo poza niemi nie miałam”.

Jasnym promieniem w twardej życiu tej matki - spartanki jest syn najstarszy. Ucieka przed niemieckim werbunkiem do armji Hallera, potem służy w pułku gen. Żeligowskiego.

„Powiedział: mam, nie mogę się pozostać w domu — lecz ja też jako prawdziwa polka, odpowiedziałam jemu: Synu kochany! idź i walczyć o tę kochaną Polskę, na której wspomnienie drżałam”. „Zginął, kiedy się stał Cud nad Wisłą. Czekałam i czekałam do dziś dnia, choć jestem pewna, że zginął, bo miałam sny o nim niedobre, i wiem, gdyby żył, to-

bym miała jakąś wiadomość. I od tej pory, kiedy już przestałam otrzynywać listy od niego, stałam się jakaś inna, wszystko mnie zobojętniało, dla męża stałam się głazem, wypowiadziałam jemu wszystko, że go nigdy nie kochałam, że całe życie młode moje zmarnował, i t. d. I przestałam być dla niego żoną, byłam tylko matką moich dzieci. Trwało tak trzy lata”. Po trzech latach mąż zaczął puchnąć. „Zobaczyłam zmianę w jego oczach. Zawołałam doktora, doktor powiedział, że jutro pani męża do szpitala odwiezie, a on powiedział, że już niedługo skończy swoją maszynę, bo już jest na dobrej drodze. Tymczasem w nocy o wpół do trzeciej umarł i ja się stałam wdową z sześciorgiem dzieci i całą kupą żelaza i rysunków, bez jednego grosza”.

Zaczyna się powolne staczanie w otchłań nędzy. „Miałam pokój z kuchnią i przedpokojem”. Więc na-przód odnajęcie jedynego pokoju niesumiennym sublokatorom, którzy całymi miesiącami nie płacą. Potem eksmisja, mieszkanie na Anopolu. Ale nie koniec tej gehenny. Nowa tragedia — nieszczęśliwe małżeństwo córki. Zięć maltretuje i zdradza młodą żonę, deprawuje małe dzieci. Włosy powstają na głowie, kiedy nieszczęśliwa, znękana matka i babka opowiada o tem piekle, jakie przeżyły pod terorem sadysty i zbrojca. Wreszcie zostaje z córką i trojgiem wnucząt bez środków do życia. Pozostałe dzieci tracą pracę.

„Jest nas teraz ośmioro. Córka mężatka z trojgiem dzieci od czterech lat do dwóch tygodni. Następnie córka 26 lat, która jest chora na oczy i która była w zakonie, bo miała powołanie, lecz była wątła i jest w domu. Trzecia córka pracuje w zakładach graficznych u Koziańskich. Ma lat 22, zarabia 20 złotych na tydzień, które nam muszą wystarczyć na nasze utrzymanie. Chodzi przeważnie pieszo z Anopola na Marjensztadt i już tylko mówi o otruciu, bo mówi, że nie ma już siły. Następnie jeszcze jeden syn ma lat 15, jest niedorozwinięty, miał kiedyś wrzód w głowie”.

„Mało i źle jesteśmy odżywiani, zapomóg żadnych, ani obiadów nie mamy. Przynosi już od czterech lat kobieta mleko, to tylko to dwa litry mleka nieraz stanowią nasz całodzienny posiłek, lecz już jestem winna 46 złotych za mleko, tak że i to jest zagrożone”.

I tu następuje długa litanja naleźności u sklepikarzy, tych drobnych długów, dokuczliwych i kłujących, jak szpilki. I lista sierocych pamiętek: obrączki, pierścionki, kapa, ostatnie klejnoty nędzarzy, zastawione w lombardzie. Co lepsze ubranie i bielizna — posprzedawane,

„Jesteśmy obecnie bez odzieży i bielizny, tylko cały tydzień się chodzi, a w sobotę pierze — notabene, jak jest mydło”.

A nad tem życiem bez jutra i bez nadziei ciąży jeszcze jedna chmura: groźba eksmisji. „Bo do ogólniaka panią przeprowadzę”. I odruch rozpaczny: „Tam gdybym miała pójść, tobym bez namysłu wszystkich potruła i sama siebie. Już moje nerwyby nie wytrzymały do tej nędzy, i brudów, i zgnilizny, i bójkę iść”.

I znamienna uwaga: „Tego, co napisałam, nawet nie czytam i nie poprawiam: pisałam to, co mnie boli”.

Dobrze, że nie poprawiała. Nie zatarła świadomie lub mimowolnie żadnego z tych bezwiednych pociągnięć, które tak wyraziście zarysowały subtelną sylwetkę kobiety - matki, walczącej o prawo do życia nie dla siebie, ale dla swoich dzieci. To nie jest ofiara bezrobocia: to jest ofiara przedewszystkiem anormalnych stosunków rodzinnych. Dziecko prawie, przez przypadkowe małżeństwo zdana na łaskę i niełaskę człowieka, nie mającego innej busoli poza manją wynalazków, bezwolna i bezradna, odnajduje w życiu niezłomny pion, a w sobie siły nadludzkie niemal tylko pod wpływem uczuć macierzyńskich. I leż nieświadomego heroizmu i szlachetnej dumy tkwi w pogardliwym odrzucaniu załotów naprzód rosyjskiego żandarma, potem Niemców! Tak się nimi brzydziła, że już wołała jeść wstrętą zupę komitetową.

A te placki kartoflane, z których wynalazku dumniejsza jest, niż jej mąż ze swego nieosiągalnego perpetuum mobile! A to pierwsze bolesne zetknięcie się z nieuczciwą konkurencją, czy to nie jest żywy dokument warszawskiej ulicy? A jeśli spojrzeć na całość przeżycia pod kątem literackich asocjacji, których się człowiek wobec tej krwawiącej niedoli wstydi, jak niewczesnego książkowego snobizmu, to jest coś z tragizmu Niobe w nieubłaganem stopniowaniu nieszczęść tej matki. Zazdrosny los zabiera jej naprzód ukochanego syna, potem mści się nieszczęśliwym małżeństwem córki. Ugodził ją w tem, co miała najdroższego — w dzieciach.

I oto ta przedwcześnie postarzała 52-letnia kobieta stoi, jak wilczyca, na straży swego rozbitego gniazda. Woli ujrzeć jego zagładę, niż jego upadek.

Przejdźmy do następnej. Żona rytownika, zamieszkała w Kaliszu. Jest młodziutka, pełna nadziei, niedawno poślubiona. Zaczyna swój pamiętnik efektownym wejściem w sedno sprawy, jak wytrawna nowelistka.

„Wigilja, 24 grudnia 1929 r.

Mąż mój wraca z pracy, jak zwykle! ja na przywitanie mówię mu:

— Patrz, kupiłam ckojną i dałam zarobić najbiedniejszemu 50 gr. za przyniesienie jej!

A mąż mi na to ze smutkiem:

— My od dziś też należymy do najbiedniejszych. Jestem zredukowany!

Nie wiedziałam, co mam na to odpowiedzieć. Przecież to pierwsza Gwiazdka, którą mamy razem spędzić, przytem i siostra moja z mężem i dzieckiem ma przyjechać do Kalisza do swej teściowej, więc i u nas będą. Nowy Rok za kilka dni! Moc zobowiązań... co tu robić! Sto myśli na minutę, nie, mało sto, tydzień, i to nic z tego, co zacząć? Co tu począć! Głowa pęka!”.

Dowiadujemy się, że to młode, od kilku miesięcy skojarzone stadło już miota się rozpaczliwie w sieci długów. Ślub za pożyczone pieniądze, na kupno mieszkania zaciągają pożyczkę 500 złotych na 5 proc. miesięcznie. A dług „ten straszny dług, to jest okropniejszy, niż głód”. A tu jeszcze mąż przychodzi ze straszną wiadomością: — Dziś ostatni dzień pracowałem.

Po wspólnej naradzie idzie do dyrektora fabryki. Ten każe mu przyjść 7-go stycznia. W oznaczonym terminie „mąż w fabryce rano, jak zwykle, lecz tam cicho i zimno wszędzie; wtem zastępuje drogę zarządzający i mówi: — Panie K... dziś pan jeszcze nie zacznie pracować, bo jak pan widzi, zimno, wszystko stoi: 11-go pan zacznie napewno”.

Młoda kobieta nie upada jednak na duchu. Szuka środków ratunku. „W tym czasie wyczytałam w gazecie, chyba już dziś wszystkim znana maszyna pończosznicza i czytam: „Można zarobić 500 zł. i więcej miesięcznie, a towar na tej maszynie wyrobiony, no i przytem gwarancja zapewniona”.

Pożyczają od rodziny 400 złotych na kupno maszyny, resztę płacą weksłami.

„Dn. 11 stycznia mąż znów w fabryce, lecz usłyszał tę samą odpowiedź: — Coś zepsute, coś nie w porządku i t. d., niech pan przyjdzie 25 stycznia 1930 r. — Tak, teraz rozumiemy, że to są żywe żarty z człowieka”.

Nareszcie nadchodzi upragniona maszyna, nowa, ładna, mała maszynka. Ale to przecież takie małżeństwo, zaco tyle pieniędzy? 700 zł. to chyba skandal! Teraz trzeba ją zmontować; męczymy się, jednak do końca nie można dojść.

25 stycznia mąż w fabryce: powtarza się ta sama historia. — Widzi Pan, tak się coś nie szkuje, fabryka będzie dłuższy czas nieczynna, więc niech pan idzie na zapomogę. — Lecz dziś na zapomogę! Po pięciu tygodniach w biurze nawet słuchać nie chcą! Mąż jednak stara

się, lata od urzędu do urzędu, jednak nic z tego, zapóźno!”.

„Już trzeci dzień montujemy maszynę, lecz z samouka nie można się zupełnie dobrze orjentować; sprowadzamy znajomego montera, który doprowadza w krótkim czasie do porządku, ale na tem nie koniec: pierwsze, jak zobaczył tę maszynę, to najzwyczajniej splunął, a co się denerwował, tego już pisać nie będę, zgóry nam jednak powiedział:

— Toście się wpakowali!

Wtem ja się odzywam:

— Co nam to szkodzi, co za towar będzie? grunt, że oni skupują wszystkie towary, na tej maszynie wyrobione.

Po dobrej godzinie monter zrobił pończochę i skarpetkę (specjalista trykociarski); uczy, poucza, tłumaczy, wszystko bardzo chętnie i tak powiedzieć raz, dwa i już umiem, robię sama, monter podziwia”. „Rozpoczyna się korespondencja z firmą, przesyłka próbna jedna po drugiej, a za każdym razem zwrot... Rozpacz coraz większa, która doprowadza nas do szalu... Na tę przekłętą maszynę niema co liczyć, gdyż wyrobione na niej pończochy z ich przędzy, w dodatku tak strasznie drogiej, wyglądają jak najordynajniejsze drelichy, więc któż mi taki towar kupi?”

Firma nie chce przyjąć maszyny z powrotem. „Radzi nie radzi żeśmy ją spakowali i postawili w kącie w kuchni i oto stoi sobie bardzo spokojnie do dziś dnia, na życzenie moge pokazać, co już mało miejsce, kilka razy w tym czasie zjawiali się kupcy, który pierwszy z nich po obejrzeniu jej jak poszedł, tak do dziś dnia go nie widać, a drugi znów dawał nam 55 zł., na co myśm się nie zgodzili, ponieważ podaliśmy ostatnią cenę 80 zł. i również ten, jak poszedł się radzić, tak więcej do nas nie trafił”.

Mija trzy miesiące. Z męża pozostaje cień, który się stale błąka po ulicy, aby nie patrzeć na żywego trupa, to jest na mnie, która jestem szara, jak popiół!... Nadchodzą terminy płatności weksli, komornego i t. d., prosby i zwodnicze nadzieje zapomogi. W atmosferze przygnębienia, nędzy, paczy się pszczyka tych dwojga młodych, do niedawna tak ufnie w przyszłość patrzących ludzi.

„O rozpacz! O zgrozo! Czuję niema śmierci na ciebie? I z naszego dotąd tak szanującego się małżeństwa dochodzi do coraz częstszych awantur i gwałtowniejszych, tak to wszystko wywołuje głód i nędzę”. „Po tych burzach i huraganach życiowych mąż dostaje wiadomość z Łodzi, że dostanie trochę pracy, którą ma u siebie robić. Radość. Razem z majem, słońcem, wiosną, zawitała i nadzieja. — 27 czerwca mąż siadł do pracy. (d. c. n.) Old Lady.



NA

NARTACH

Zastanawiam się właśnie, czy słuszne, oraz istotne jest określenie: „sport narciarski“. Bo przecież narty — to coś o wiele, nieskończenie więcej, aniżeli tylko sport. Tego z niczem porównać nie można. Tego nurzania się w oceanie śniegu, w którym zatonać można tak samo łatwo, jak w morzu.

Pomyślmy tylko: — stanąć na białej, brylantowej w słońcu, bezkresnej toni i pruć jej powierzchnię, sunąć z błyskawiczną szybkością po stromej ścianie i pokonać wreszcie lęk, i opanować owe najdroższe narty, bo poznało się wreszcie złożoną i trudną sztukę hamowania!

Dziwnie szeleści śnieg... szeleści? Nie — to złe określenie, ale niema przecież określenia na ten specyficzny skrzyp tego puszystego śniegu, czy t. zw. firnu na wiosnę, czy tego twardego, skryształizowanego w olbrzymie płatki.

I czyż tylko sama jazda jest rozkoszą? Nie, nietylko. Świeci słońce, jest mróz, a teraz, o 12-ej w południe, tak gorąco, że zdejmuję kurtkę narciarską, pozostając w leciutkiej bluzce — około 20 stopni ciepła, prawie Kalifornja. Niebo tak niebieskie, jak farbka do bielizny; odcinają się na niem cudną, tem jaśniejszą bielą szczyty Tatr, zielono-granatowe smreki, ustrojone w śnieżną okiść; na horyzoncie widnieje Babia - Góra, tak bardzo podobna do Fudżijamy.

Gapię się na to wszystko, schodząc z Gąsienicowej Hali, gdzie nocowałam. Jadę sama. Śnieg cudowny, zjeżdżam zakosami, aby sprawdzić, czy poznałam dostatecznie tę sztukę na kursie. Bowiem pogłębiłam w tym roku moją wiedzę narciarską, przeskoliłam się i teraz trenuję z zapałem, z entuzjazmem, z radością tak wielką, że wydaje mi się, iż nareszcie wiem już naprawdę, co to znaczy szczęście.

szczęście — to właśnie te narty, to beztrudne, cudowne, fizyczne poczucie swej osobowości; to zdrowe zmęczenie, to apetyt i radość, to odciążenie od tak bardzo skomplikowanego życia, które wydaje się tutaj takie proste i takie łatwe.

Czasem, bardzo rzadko, wpadam do Zakopanego. Na śliskim deptaku tyle ludzi. Z „lokalów rozrywkowych“ dochodzi muzyka, przez szybkie okien widzę kręcące się w nieopisanym tłoku i zaduchu, roztańczone pary. Najdalsze „wycieczki“ do Kuźnic, albo do Kościeliskiej, oczywiście sankami.

Na twarzach jadących nudny, apatyczny wyraz. Czy ci ludzie nie widzą słońca, nie widzą gór? czy ci ludzie nigdy nie próbowali nart? Ależ tak. Mają je nawet, noszą z parą na ramieniu od Trzaski do Morskiego Oka. Aby widziano. Cielują zwłaszcza w tym bezsensownym snobizmie panie. Nie rozumiem i żałuję tych naprawdę ubogich duchem, że oto tyle tracą nieopisanych, najrozkoszniejszych wrażeń, nie uprawiając, no, już powiedzmy, „sportu narciarskiego“.

A takie to dzisiaj wszystko dostępne, tak bardzo potaniał rynek sztunek narciarski, tak świetnie prowadzone są kursy i przecież niekoniecznie do Zakopanego trzeba jechać na narty. W iluż miejscowościach, a właściwie wszędzie, gdzie jest śnieg i trochę spadzistości, czy wyniosłości — deski pod nogi i jazda!

Ale naprawdę, to chciałam pisać o tym moim kursie. Prowadzi go prof. Ritterschild, t. zw. wujek — Nestor narciarzy. Ma siedemdziesiąt lat, a przysłuchując się jego instrukcjom i patrząc na te cuda, jakie wyтворя, pokazując nam „telemarkę“, chrystjanję „ciąganą“, chrystjanję „dostawianą“, luki alpejskie i prze-

różne łamańce, mające na celu trening w utrzymaniu równowagi ciała, patrząc na niego samego zwłaszcza — marzę o tem, aby tak wyglądać, zachować tę młodzieńczą świeżość i zreczność ruchów, gdy będę miała siedemdziesiąt lat.

Na kursie jest około dwudziestu osób, hm, mówiąc stylem utartym: „starzy, kobiety i dzieci“. Ale ostatecznie nie odbiegam daleko od prawdy. Faktycznie są ojcowie i matki z dziećmi, jakiś dziadek z wnukiem (a jakże!) ale wszyscy oddawna jeżdżą na nartach, i po dwu lekcjach umiemy już bardzo dużo. „Lekcja“ trwa bite trzy godziny. Od dziesiątej do pierwszej. Pan profesor uczy świetnie, ma zwłaszcza pwsze porównania, tłumacząc jakieś zawiłe kombinacje tak, że prawie wlot pojmujemy, o co chodzi, i, niebaczni na upadki, czasem na sińce, staramy się natychmiast „odtworzyć“ to wszystko, co naprawdę przebiegnie wykonywa p. Ritterchild.

Bo to przecież wcale nie chodzi o samą tylko wprawę. Świetnie jeżdżących narciarzy i narciarek mamy coraz więcej. Ale chodzi również o t. zw. styl jazdy, o ładną, estetyczną sylwetkę w każdym poruszeniu. Na tym kursie i tego nauczyć się można. Boże! wydaje mi się naprawdę chwylami, że jestem jeszcze uczennicą w jakiejś modnej szkole na wolnym powietrzu.

Pan profesor jest nieustępliwy. Tutaj niewolno przemycić żadnego ruchu, który byłby nie „fair“ według obowiązujących kanonów jazdy. „Proszę zawrócić! jeszcze raz!“. Następuje przeraźliwy gwizdek, ponowny wykład, potem zbiórka. Ci, mniej pojętni, ćwiczą jeszcze raz, aż do skutku, aż póki jest całkiem jako tako. Wszyscy zresztą uśmiechnięci, z roziskrzonymi oczami. Aż promieniuje z nich ochota

nauczenia się, wykorzystania każdej chwili.

Ale istotnym sprawdzianem zdobytej umiejętności staje się dopiero jedna, druga dalsza wyprawa. Ustawiamy się „gęsiego” (naprawdę młode lata); wszyscy naturalnie, całkiem jak dzieci, starają się o to, aby być tuż tuż za profesorem, co się oczywiście nie udaje (z wyjątkiem tych, co sobie odrazu wymiarkowali, jak się ustawić, aby być blisko), no i jazda.

Profesor nie ogląda się, przestaje się troszczyć o „wychowanków”, jedzie naprzód, z góry na dół i odwrotnie; każdy musi sobie radzić, jak umie. Wdrapaliśmy się właśnie na wyniosłe wzgórze. Wejść to się weszło, ale co będzie ze zjazdem?

Wyleciały z głowy z mozołem nabyte teorie — co innego na kursie, a co innego w zetknięciu z tą „wysoką” rzeczywistością. Przekonuję się znowu poraz nie wiem który, że najważniejszą rzeczą w takich oko-

licznościach jest nastawienie psychiczne, polegające na świadomym opanowaniu lęku, na opanowaniu wyobraźni, malującej żalodne skutki ew. brawury. Patrząc, jak „uczniowie” zjeżdżali, wiedziało się odrazu, kto będzie dobrym narciarzem, a kto pozostanie patałachem do końca życia.

Oto czekamy już blisko pół godziny na połowę tych, co nietylko jeszcze nie zaczęli zjeżdżać, ale wahaają się przed każdą przeszkodą, nakładając Bóg wie ile drogi, aby uniknąć „niebezpieczeństwa”.

Tak, tak! co innego teoria, co innego praktyka. Nareszcie są wszyscy. Uszliśmy już kawał drogi, ale do ostatecznego celu daleko. Znowu pod górę. Całe szczęście, że narty umiejętnie wysmarowane, bo tak czasem bywa, że się jedzie krok naprzód, dwa wtył; o, klnie człowiek wtedy, jak dorożkarz. Takich nieszczęśników, którzy nie opanowali

skomplikowanej sztuki smarowania nart, jest właśnie kilku. Żal mi ich, a śmieję się z całego serca, tak komicznie wyglądają. Ale „reguluję” ten brak serca, pożyczając im smar, który neutralizuje zbytnią gładkość nart.

Nareszcie jesteśmy w schronisku. Ciepło, jedzenie... „niebo w gębę”, jak się to mówi narciarskim stylem, naturalnie i muzyka, ale przynajmniej odmienna od jazzów, bo autentyczna cygańska. Ilości, jakie się pożera, wystarczyłyby z pewnością dla Pantagruela. Je się już nietylko z głodu, ale z przyjemności, że to całkiem inny apetyt, aniżeli w mieście, w domu.

Godzina mija, jak jedna chwila — sygnał. Deski przypinać, wiatrowki, rękawice i powrót. 8 godzin w drodze. Czyśmy zmęczeni? Nie wiem — wiem jedno, że takie zmęczenie jest uciechą, radością.

Janina Strzelecka.

STEFAN POMER

## ŚWIATŁA MIASTA

*Rozdzielił nas zły los. Mnie rzucił w obce miasto,  
A ty zostałeś daleko, jak drobny na drodze kamyczek;  
I nic już nie pomoże... Ach, pomyśl tylko i zważ to;  
— Przeszłość nasza leży, jak zimny trup, za nami.*

*Wszystko, co było, umarło. I teraz ty nadzieją ludzisz  
Rozłąkę i tęsknotę. A ja żal na darmo tłumię  
I w tem obcem, wielkiem mieście, w ciągłej trosce i w trudzie,  
Ani żyć, ani umrzeć bez ciebie nie umiem.*

*W dzień chodzę nieprzytomny po ulicach. I w gwarze  
Huczących aut i tramwaj przesuwam się cichaczem,  
Zatulony w wytarte paletko, bezradnie o tobie marzę  
I ręce zziębnięte zaciskam z bezsilnej rozpacz.*

*A w nocy wśród światel, bijących ze sklepów, reklam i witryn,  
Po placach, przy pomnikach na wyniosłych postumentach,  
Snuję się, jak cień, chylkiem, jak cień śmieszny i nikły  
I już nic nie wiem, nic nie chcę i nic nie pamiętam.*

*Tylko to, że ciebie niema, ani spoczynku, ni domu  
Dla nóg zmęczonych. A jest szum, i gwar, i zgiełk przeklęty,  
I luna światel, nad miastem rozpiętych,  
Jak potop ognistych komet.*

# prawo a rodzina

## II.

### MAŁŻEŃSTWO

Małżeństwo, jako podstawa rodziny, odgrywa wielką rolę w życiu społeczeństwa, którego najmniejszą komórkę stanowi właśnie rodzina. Od zdrowia pojedynczych komórek zależy zdrowie i tężyzna całego organizmu. Dlatego też państwo bierze w swą opiekę rodzinę i tworzy podstawy prawne dla jej istnienia i rozwoju.

Instytucja małżeństwa jest od dawna terenem walki między władzą duchowną a cywilną. Kościół Katolicki uważa małżeństwo za sakrament i stąd nie uznaje możliwości jego rozwiązania; państwo znowu traktuje małżeństwo, jako umowę, która, jak każda inna, może być w zasadzie rozwiązana. Ponieważ jednak oprócz interesu osobistego stron występuje w małżeństwie interes ogólny społeczności, przeto państwo dopuszcza rozwody tylko w ściśle określonych wypadkach, które uznaje za dość ważne, by uzasadniały przecięcie zawartego związku. W ten sposób uzyskany rozwód cywilny nie ma jednak skutków kościelnych.

Kościół Katolicki zna natomiast inną instytucję (znaną również prawodawstwom cywilnym), która praktycznie ma takie same skutki, co rozwód, t. j. znosi wspólność małżeńską i daje prawo ponownego zawarcia małżeństwa, a teoretycznie jest zupełnie różna od rozwodu. Jest to unieważnienie małżeństwa, t. j. urzędowe stwierdzenie, że małżeństwo wogóle od początku nie istniało, gdyż było zawarte z obrażą prawa kanonicznego, mimo istnienia pewnych przeszkód.

Przeszkody te bywają różnego rodzaju i różna jest ich klasyfikacja. Jedne z nich mają charakter stały, nieprzemijający (śluby zakonne, wyższe święcenia, tożsamość płci); inne — czasowy (wiek, czas wdowi); jedne stoją na przeszkodzie związkowi ze wszystkimi ludźmi (wieloletniość, impotencja), inne — dotyczą tylko pewnej kategorii osób (pokrewieństwo, powinowactwo, różność religii).

Zapowiedzi, które stwierdzają faktyczne istnienie zaręczyn, a znane są wszystkim obowiązującym u nas prawodawstwom, mają na celu właśnie wykrycie ewentualnych przeszkód. Niektóre przeszkody dadzą się usunąć w drodze t. zw. dyspensy. W Kościele Katolickim udziela jej w zasadzie papież, który u-

prawnienia swoje może przelać na biskupów. W pewnych wypadkach biskupi mogą i własnym prawem udzielić dyspensy. Prawodawstwa cywilne znają również instytucję dyspensy, której zwykle udziela głowa państwa.

Aby móc wstąpić w związek małżeński, trzeba mieć wiek, prawem przepisany. Tak np. m. i. Prawo małż. z 1836 r. (dla b. Kongresówki) wymaga ukończenia 16-tu lat przez kobietę i 18-tu lat przez mężczyznę. Granica wieku, pociągająca bezwzględnie nieważność małżeństwa, jest jeszcze niższa (14 i 12 lat). Poza to dla osób niepełnoletnich wymaga się zezwolenia na zawarcie przez nie małżeństwa. Zezwolenia tego udziela ojciec, matka, opiekun lub sąd. Zezwolenie władzy przełożonej potrzebne jest przy zawieraniu małżeństw przez wojskowych.

Istotnym warunkiem ważności małżeństwa jest wzajemne zezwolenie stron na jego zawarcie (*consensus maritalis*). A więc np. małżeństwo, zawarte pod przymusem, jest nieważne, wogóle nigdy nie istniało. Takie stanowisko zajmuje równorzędnie z prawodawstwami cywilnymi prawo kanoniczne.

Prawo kanoniczne wymaga dla ważności małżeństwa, aby było ono zawarte w asystencji właściwego proboszcza i w obecności dwóch świadków. W języku potocznym zwykle używamy zwrotu: „Ksiądz dawał ślub”. Jest to nieścisłość. Ksiądz nie daje ślubu, lecz tylko asystuje przy nim i udziela błogosławieństwa nowożeńcom, których wzajemne zezwolenie, wyrażone w uroczystej formie, stwarza między nimi związek małżeński.

Ustawy cywilne, obowiązujące w b. Kongresówce, na ziemiach wschodnich Polski i w b. zaborze austriackim, poddają sprawy małżeńskie (za wyjątkiem majątkowych) prawodawstwom wyznaniowym. Na tych ziemiach zatem dla małżeństw katolickich niema rozwodów. Inaczej przedstawia się sprawa katolickich małżeństw mieszanych. Te mogą być rozwiązane. Nie dotyczy to b. zaboru austriackiego, dla którego art. 111 ustawy kategorycznie zabrania rozwodów w takich wypadkach. Co do innych wyznań chrześcijańskich i niechrześcijańskich, to rozwody są dopuszczalne, ponieważ zezwalają na nie odnośnie religie.

Przyczyny rozwodu są podobne dla poszczególnych wyznań. Najczęściej spotykane są: cudzołóstwo, choroba umysłowa, choroba zaraźliwa i nieuleczalna albo odrażająca, złośliwe porzucenie współmałżonka, 5-letnia nieobecność. Małżeństwa niechrześcijan również zawierane są według obrządków religijnych.

O nieważności, separacji i roz-

wiązaniu małżeństw chrześcijańskich orzekają w b. zaborze rosyjskim właściwe władze duchowne, sądy konsystorskie; natomiast tego rodzaju sprawy, dotyczące wyznań niechrześcijańskich, podlegają wyrokowaniu sądów cywilnych. W b. zaborze austriackim także sprawy odnośnie wszystkich wyznań podlegają rozpatrzeniu sądów świeckich.

W Poznańskim, na Górnym Śląsku i na Pomorzu, pod rządem prawa niemieckiego, i w polskich gminach Spisza i Orawy, gdzie obowiązuje ustawa węgierska, spotykamy obligatoryjne śluby cywilne, zawierane przed urzędnikiem świeckim, przyczem dopełnienie obrzędu religijnego pozostawione jest woli wstępujących w związki małżeńskie, czyli nupturjentów. Tu również w konsekwencji rozwody dopuszczone są dla wszystkich wyznań. W sprawach tych orzekają sądy państwowe.

Instytucją, podobną do rozwodu, jest t. zw. separacja. Znają ją wszystkie nasze ustawodawstwa, nazywając ją rozłączeniem lub rozdzieleniem od stołu i łoża, albo zawieszeniem wspólności małżeńskiej. Separacja znosi wspólność pożycia i zamieszkania małżonków, ale nie daje im prawa ponownego zawarcia małżeństwa. Według prawa niemieckiego i węgierskiego przyczyny separacji i rozwodu są takie same; prawo węgierskie wymaga przytem dla orzeczenia rozwodu dwuletniej separacji. W b. Kongresówce separacja może być orzeczona na czas ograniczony lub nieograniczony. Pierwsza z nich jest prowizoryczna i małżonkowie mogą każdej chwili od niej odstąpić. Druga jest separacja właściwa i w razie odstąpienia od niej małżeństwo w swych skutkach cywilnych uważa się za jakoby narowo zawarte.

Dowodem zawarcia małżeństwa jest cywilny akt ślubu, który w b. zaborze niemieckim oraz na Orawie i Spiszu spisany jest przez urzędnika świeckiego, a na pozostałych ziemiach Polski — przez właściwego duchownego, po dopełnieniu obrzędu ślubu religijnego.

Po zniesieniu barjer międzydzielnicowych ruch ludności na terenie naszego kraju odzyskał charakter normalny. Nierzadko się zdarza, że względy służbowe lub osobiste skłaniają jednostki do obrania stałego miejsca pobytu w innej dzielnicy. Ustawa z 1926-go roku, normująca stosunki prawne międzydzielnicowe, poddaje przybyszów miejscowemu prawu małżeńskiemu dopiero po roku pobytu.

Wypływające z małżeństwa prawa osobiste i majątkowe omówimy w następnym artykule.

Krystyna Westerska.



## GODZINY POSILKÓW

W ustawicznej pogoni za lepszą organizacją życia w nowych warunkach powojennych, w wyszukiwaniu rozmaitych ułatwień, uproszczeń tego życia, w oszczędzaniu czasu pani domu i coraz to mniej licznej służby — często się spotyka projekty ujednostajnienia godzin posiłków. Ujednostajnienia dla wszelkich sfer, wszelkich stanów, wszelkich wieków. Jako przykład możliwości tego rodzaju ujednostajnienia, stawia się zwykle państwo, mające starą cywilizację — prawnym wzorem pod względem kultury — Francję, no i naturalnie modną obecnie Amerykę, co do kultury której możnaby zrobić duże zastrzeżenie.

Nie powiem, gdzie i jaka instytucja — gdyż o przedsięwzięciach nieudanych lepiej dużo nie mówić — jednak instytucja bardzo poważna i dużo poważnej pracy dająca ogłosiła nawet konkurs na projekt znormalizowania godzin posiłków u nas, w Polsce.

Termin dano dosyć długi, mimo to jednak na konkurs wpłynęła jedna tylko praca. Było to bardzo sumiennie opracowane sprawozdanie z tego, jak kwestja ujednostajnienia godzin posiłków stoi w innych krajach; bardzo przejrzyście i szczegółowo podane wszelkie korzyści, jakie z takiego ujednostajnienia wypływają; niestety, jednak, żadnego konkretnego projektu rozstrzygnięcia sprawy na naszym gruncie autorka nie podała. Można tylko było z całości wywnioskować, że sympatje tej są po stronie dwugodzinnej przerwy obiadowej w południe, jak to jest stosowane właśnie w sympatycznej dla nas Francji.

Otóż wszelkie zmiany w zwyczajach, utartych wiekami, nie mogą być wprowadzane z dnia na dzień, gdyż wywołałyby zupełnie nieobliczalny przewrót i zawsze prawie okazałoby się, że nowy system, wczorowany na obcym szablonie, nie daje się do naszych warunków dostosować.

Układ życia, układ godzin dnia, może stworzyć tylko życie samo, a ponieważ tryb życia różnych sfer towarzyskich i warunki ich materialne są u nas, jak dotąd, ogromnie zróżniczkowane — wszelka niwelacja tych różnorodnych elementów jest specjalnie utrudniona.

Przykład tego, jak godziny posiłków stosują się do rozkładu pracy, mamy wszędzie na wsi. Na całym obszarze Rzeczypospolitej są one jednakowe, chociaż pod innymi względami poszczególne prowincje zupełnie się różnią. Robotnik rolny, a także jego dozorca: rządca, ekonom, karbowy, sam drobny właściciel — wstają wiosną i latem o

wschodzie słońca i po trzech, czterech godzinach pracy czują głód: stąd śniadanie pomiędzy siódmą a ósmą rano. O tej porze jedzą śniadanie i państwo, których dzień zaczyna się też znacznie wcześniej, niż w mieście.

Od ósmej do południa — cztery godziny pracy. O południu dwugodzinny odpoczynek dla koni i ludzi. Obiad i chociaż krótki, lecz krępujący sen w czasie najbardziej upalnych godzin dnia. Od drugiej znów praca, przerwana kwadransem podwieczorku pomiędzy piątą a szóstą, i znów praca aż do zachodu słońca — do ósmej, dziewiętej w czasie dnia najdłuższego.

Wraz z nastaniem dni krótszych kasuje się przerwę podwieczorkową, wczesny zmierzch zmusza do wcześniejszego powrotu do domów, kolacja się przenosi na szóstą, czy siódmą. Przerwa obiadowa ogranicza się do jednej godziny. Przywykły jednak do pracy rolnik wstaje zawsze równie wcześnie, czy to dla młócki, czy dla oporządzenia inwentarza, i godzina pierwszego posiłku zostaje ta sama; z takim samym dobrym apetytem zasiada nasz wieśniak do dobrze zapracowanego śniadania. Życie samo ułożyło na wsi jaknajpraktyczniej, jaknajracjonalniej godziny posiłków.

Gorzej jest w miastach.

Do wzorów zagranicznych najłatwiej mogłoby się zastosować robotnicy fabryczni, którzy przeważnie mają przerwę obiadową o godzinie dwunastej, bo przecież właśnie chodzi głównie o unormowanie godziny podstawowego posiłku — obiadu.

Lecz i w rodzinach robotniczych nie wszyscy mogą spożywać obiad o godzinie dwunastej. Dzieci w wieku szkolnym, dzięki przepelnieniu gmachów szkół powszechnych, wracają do domu o najrozmaitszych godzinach. Nawet w jednej i tej samej szkole jedne klasy kończą zajęcia o jedenastej, inne o pierwszej, albo o jeszcze różnych godzinach, aż do późnego wieczoru włącznie.

Urzednicy pracują od ósmej, pół do dziewiętej, do pół do czwartej. Banki kończą zajęcia około piątej, czyli urzednicy bankowi przeważnie koło szóstej przychodzą do domu. W sklepach, dzięki ośmiogodzinnemu dniu pracy, pracownicy w najrozmaitszych godzinach kończą ją lub zaczynają. Toż samo kolejowcy, pracownicy tramwajów, autobusów i innych instytucyj państwowych i komunalnych. A cóż powiedzieć o różnych pracownikach, mających dyżury nocne lub stale pracujących tylko nocami.

Lekcje w szkołach średnich przeważnie się kończą o pół do trzeciej,



## Gdy słuchamy RADJA

RAŻNIEJ IDZIE PRACA  
WIĘC KUPIĆ DETEFON  
ZAWSZE SIĘ OPLACA

Cena  
DETEFONU  
zł. 39.—

Do nabycia w Warszawie w Wyd. „DETEFON“ ul. Zielna 30 i w sklepie firmy **Krzysztof Brun i Syn**, Marszałkowska róg Sienkiewicza.

Wykłady w szkołach wyższych trwają dzień cały. Kobiety, pracujące zawodowo, dopiero po powrocie z pracy mogą się zająć przygotowaniem posiłków dla rodziny — o ile nie mają służącej, co coraz częściej się zdarza.

Wszystkiemu temu ma zaradzić, wszystko to ma radykalnie uleczyć dwugodzinna przerwa południowa — bo w Paryżu i dzieci i rodzice dzięki tej przerwie zbierają się na obiad do domów.

Chciałabym widzieć urzednika, pracującego w śródmieściu i wracającego na obiad już nie do Miłanówka lub do Podkowy Leśnej, lecz chociażby na Żoliborz, czy na koniec Mokotowa. Czekać na tramwaj, trzy kwadransy jazdy w jedną i tyleż w drugą stronę — i czasu ledwie starczy na przejazd, a już nietylko na odpoczynek, lecz i na spokojny posiłek nie zostanie ani chwili.

A ucząca się dziatwa? ta straci nawet te parę godzin odpoczynku, zabawy lub sportu, które ma obecnie po obiedzie.

Wcale nie chcę twierdzić, że nie da się zrobić w kierunku ujed-

nostajnienia godzin posiłków przynajmniej w jednym mieście, zaczynając od stolicy; musimy jednak, jak we wszystkim innym, opracować jakiś system własny.

Należy przede wszystkim zacząć od śniadania, przyczem proponowałabym system angielski. Śniadanie znacznie fundamentalniejsze od obecnego: „jakieś ciepłe danie mączne, czy z jaj (mięsa i tak za dużo jadamy). Obecnie w każdym biurze, w każdym urzędzie pracownicy nie zdążą zasiać do pracy, kiedy już zaczynają pić herbatę i jeść przyniesione z domu bułki — bo z tego domu wychodzą głodni.

O pierwszej przerwa półgodzinna na drugie śniadanie, które w szkołach, urzędach, fabrykach i innych dużych instytucjach powinno być przyrządzane i podawane po cenie kosztu. Dzieci po ukończeniu zajęć, zamiast zasiadać do obiadu, idą na przechadzkę, mają godzinę lub dwie sportu, czy zabawy. Obiad rodzinny o piątej — jest to jednocześnie ostatni solidny posiłek. O ósmej herbata i zimna, lekka przekąska — coś z nabiału, owoce, ciasto.

Wiem, że mój projekt spotka mnóstwo objękcij i sprzeciwów. Do nikogo o to nie będę miała żalu. Więcej kontrprojektów, a może które? Przeciwnie: niech wywoła jaknajryś z nich okaże się tak praktyczny, że wszystkie rodziny — o które przecież przede wszystkim chodzi — z oklaskiem i radością go przyjmą. „C'est du choc des opinions que jaillit la vérité“.

Pani Elżbieta.

## Z UBIEGŁEGO TYGODNIA

*W Genewie obradują nad skróceniem czasu pracy. — Zwalczające się tezy pracodawców i pracowników. — Groźna cyfra: 50 milionów bezrobotnych! — Marsz hitlerowców na Berlin. — Sprawa długów wojennych w nowej fazie.*

Odbywającą się teraz w Genewie sesję Międzynarodowej Konferencji Pracy śledzą z dużym zainteresowaniem nie tylko ekonomiści świata, ale, rzecz można — cały świat pracy plus owe miliony bezrobotnych, którzy oczekują, że wyniki konferencji ulżą ich doli. Wypowiedzieli się na tej konferencji przedstawiciele rządów, nie wszystkich do tej pory, bo konferencja trwa jeszcze. Główny punkt programu — wprowadzenie czterdziestogodzinnego tygodnia pracy, jako remedjum przeciw bezrobociu — wszedł w stadjum ożywionej dyskusji, przyczem zaznaczyć należy, że Anglja i Japonja sprzeciwiają się nowej konwencji, ustalającej skrócenie czasu pracy.

Inicjatorką tej konferencji, Italja, broni tezy skrócenia czasu pracy, a Francja uzależnia swoje przystąpienie do konwencji od tego, czy wszystkie państwa tę konwencję ratyfikują. Stanowisko swoje tłu-

maczy Francja konkurencją na rynkach zewnętrznych, a nawet na rynku wewnętrznym, czemu mogłaby jedynie zapobiec powszechna konwencja.

W bieżącym tygodniu przedstawiciel rządu polskiego wystąpi z deklaracją w tej sprawie, tak ważnej w chwili obecnej. Ciekawe jest, że zwalczające się w Genewie stanowiska pracodawców i pracowników wszystkich państw są raczej nieustępliwe i nie należy się spodziewać pozytywnych rezultatów. Nadzwyczajna sesja Konferencji Pracy może co najwyżej przygotuje materiał, którym się zajmie zwykła konferencja w czerwcu b. r. A tymczasem 50 milionów bezrobotnych na całym świecie jest chyba dość groźnym memento, które powinno przeważać nawet najlogiczniejsze argumentacje pracodawców, wykazujących cyframi, że skrócenie czasu pracy prowadzi przedsiębiorstwa do ruiny.

Podczas gdy w Genewie oblicza się klęski kryzysu i szuka drogi wyjścia oraz sposobu zapobieżenia ostatecznej katastrofie — w Niemczech wzmagają się wewnętrzny chaos. Rząd Schleichera jest pod znakiem zapytania, Reichstag niezdolny do pracy wobec braku rozstrzygającej większości, a Hitler ze swoimi kadrami bojowymi maszeruje na Berlin. Ubiegła niedziela przeszła pod znakiem tej groźby Hitlera. Berlin w pogotowiu, komuniści zmobilizowani do walki z hitlerowcami. Według wiadomości z ostatniej chwili, 18,000 „brunatnych koszul“, czyli umundurowanych hitlerowców, pomaszerowało na Berlin, a w wielu miejscach tłum, przeciwny komunistom, ustawił barykady. Tu i ówdzie przyszło do starć, ale demonstracja hitlerowców się odbyła, Hitler na cmentarzu ewangelickim wygłosił przemówienie; poza tem książę August Wilhelm Pruski przemawiał też do zebranych na cmentarzu. Wynika stąd, że w Niemczech niema „zmięchu hitleryzmu“, a kto wie, czy najbliższe dni nie przyniosą niepokojących zmian w wewnętrznym układzie Rzeszy. W każdym razie liczyć się należy z możliwością ustąpienia Schleichera.

Również i inna, emocjonująca świat sprawą przybiera nieoczekiwany obrót. Oto w kwestji długów wojennych Anglja wystąpiła w Waszyngtonie z żądaniem całkowitego skreślenia swoich długów w Stanach Zjednoczonych wzamian za ryczałtową sumę, którą Anglja zobowiązuje się zapłacić odrazu. Przyszły tydzień przyniesie zapewne jakieś decyzje w tej sprawie.

H. N.

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

ś. p. SIOSTRA MARJA ELIGJA.

Dla pamiętających czasy bohaterskiej obrony Lwowa, czasy „Orląt“ i „Ochotniczej Legji Kobiet“ — a przecie to tak niedawne czasy wszyscy żywo mamy nie tylko w pamięci, lecz i w sercu — niespodzianką była wieść w kilka lat później, że dzielny porucznik, młoda i zasłużona komendantka lwowskiego bataljonu O. L. K., Olga Stawecka, wstępuje do klasztoru!



ś. p. Olga Stawecka

Niezwykłe czasy niezwykłych rodzą ludzi. Przed wojną panna Ola byłaby, jak wszystkie ówczesne panny, skończyła jakieś liceum, może uprawiała jakiś talencik i wyszłaby prawdopodobnie zamąż, stając się wzorową żoną, matką i gospodynią. Po wojnie może byłaby mistrzynią w którymś sporcie i pracowałaby w jakimś biurze... Wojenna potrzeba innych wymagała kobiet. Gdy Lwów płonął, a brakło mężczyzn do ugaszenia pożaru, kobiety porwały się do obrony, wypełniając wszystkie luki.

Gdy po uwolnieniu Lwowa, ze wszystkich formacyj zaczęto wydzielać kobiety, które z bronią w rękę walczyły o wolność kresowej stolicy, i uformowano pod kierunkiem ppułk. Zagórskiej osobny bataljon, rozlokowany w barakach przy ul. Janowskiej — na pierwszy plan wybiła się wówczas młodzianka Olga Stawecka, zwracająca uwagę dowództwa swą niezwykłą odwagą, bohaterskim zaparciem się, energją, samodzielnością obok posłuszeństwa, oraz szybkością decyzji w najtrudniejszych sytuacjach, w jakie obfitowała ówczesna wojna.

Od najniższych stopni zaczynając, szybko przeszła w ogniu bojowym wyszkolenie wojskowe i, awansując dzięki swym zasługom, została mianowana komendantką najpierw Baonu w Stanisławowie, a następnie we Lwowie. Na tak odpowiedzialnym stanowisku umiała utrzymać ład i karność wśród zastępów dziecięcych w koszarach, gdzie brakło najprymitywniejszych urządzeń, umiała organizować wśród najcięższych warunków i rządzić sprawiedliwie, ciesząc się zaufaniem dowództwa i miłością podwładnych.

W roku 1920-tym przeniesiona do Wilna, organizuje tam Wileński Oddział O. L. K., a w czasie ofensywy bolszewickiej jest dowódcą kompanji frontowej Legji Wileńskiej, stawianej innym oddziałom za przykład męstwa i bohaterstwa. Za zasługi bojowe por. Olga Stawecka otrzymała Krzyż Walecznych, dyplom „Odważnych i ofiarnych kobiet“, oraz odznakę „Za wierna

służbę" a także liczne pochwały i podziękowania na piśmie.

Ta młoda i piękna kobieta po wojnie nie czuje się szczęśliwa: nie wystarcza jej świat i codzienne życie z jego małymi, drobnymi troskami i uciechami. Dążąc zawsze wyżej, szukając możliwości poświęcenia się, ofiaruje życie swe Bogu i wstępuje do Zgromadzenia Sióstr Serafitek, jako Siostra Marja Eligja.

Onegdaj w Oświęcimiu odbył się jej pogrzeb. Nie szedł za trumną żaden dowódca, ani nie kroczył bataljon podkomendnych, które już dawno rozproszyły się po świecie... Ale wziął w nim udział Związek Legionistów, Związek Strzelecki i kompanja wojska, oraz liczne delegacje, stowarzyszenia i tłumy publiczności. O życiu jej niezwykle piękne przemówienie wygłosił ks. kan. Skarbek, a na ementarzu przemówił złotousty kaznodzieja z Krakowa, ks. Aniol.

Bo wzorem dawnych niewiast kresowych por. Olga Stawecka, Siostra Marja Eligja, umiała pierwsza chwycić za kord i potrafiła pierwsza być w służbie Bożej...

J. L. W.

### SKON LOTNICZKI.

Jedną z najznakomitszych lotniczek angielskich, Miss Winiced Spooner, zmarła nagle, po przejściu grypy. Miss Spooner miała lat 32: w zeszłorocznym Challenge'u lotniczym trzymała się w próbach technicznych na jednym z 1-szych miejsc. W pierwszym dniu lotu dokoła Europy wycofała się z zawodów wskutek defektu motoru.

### KRÓLOWA BUŁGARSKA MATKĄ.

W piątek, dnia 13 b. m. królowa bułgarska Giovanna, małżonka króla Borysa i córka włoskiej pary królewskiej, powiła córkę.

21 strzałów armatnich obwieściło ludności radosne wydarzenie w rodzinie kró-



lewskiej. Burmistrz Sofji zarządził uroczystą iluminację stolicy.

Królowa i dziecko znajdują się w najlepszym zdrowiu. Przed pałacem królewskim zgromadziły się olbrzymie tłumy ludności, wznosząc radosne okrzyki na cześć pary królewskiej.

### KOBIETA — WÓJTEM.

Znana feministka czeska, Ludmila Zatlukalova-Confalova, została wybrana wójtem gminy Svesedlice na Morawach.

P. Confalova jest właścicielką gospodarstwa wiejskiego (fermy) i położyła wielkie zasługi na polu organizacji racjonalnej gospodarki rolnej. Od 1924-go r. p. Z.-C. jest prezeską Prowincjonalnego Stowarzyszenia Kobiet na Morawach i Śląsku.

### POMOC POLICJI W DOŻYWIANIU DZIECI.

W dożywianiu najuboższej dziatwy stołecznej z wydatną pomocą pośpieszyli funkcjonariusze policji państwowej. Pod przewodnictwem st. przodownika, p. Stefana Raczki, zorganizowali specjalny komitet, który nawiązał kontakt z istniejącym przy radzie szkolnej m. st. Warszawy komitetem dożywiania najbiedniejszych dzieci szkół powszechnych.

Funkcjonariusze policji stołecznej w grudniu wydali 4557 obiadów, bądź na terenie szkół powszechnych, bądź na terenie biura komisarjatów, a obecnie już wydają codziennie 400 obiadów, bardzo smacznych i pożywnych.

Środków na ten cel dostarczyły składki, jakimi dobrowolnie opodatkowali się funkcjonariusze policji w poszczególnych komisarjatach.

**J. & S. STEMPNIOWICZ · POZNAŃ**

549

**M**eble jak tanio można kupić za gotówkę, każdy winien przekonać się, zwiedzając: **Polski Przemysł Meblowy „STYL“** **ZŁOTA 7** róg Marszałkowskiej. **KOŁAŁNY WYBÓR KOMPLETÓW, SZTUK POJEDYŃCZYCH.** 2860

### ANTIMILITARNA DEMONSTRACJA.

Wielką demonstrację urządziła londyńska Labour party. Młodzież płci obojga, ubrana w maski przeciwgazowe, demonstrowała w północnej części miasta, rozdając propagandowe ulotki.



## EKSPERTKI SĄDOWE W AUSTRJI.

Austrjackie Ministerstwo Sprawiedliwości powołało na stanowiska ekspertów sądowych szereg kobiet-lekarek. Postanowienie to wydaje się słuszne, gdy weźmiemy pod uwagę fakt, że w postępowaniu sądowym często zachodzi potrzeba poddawania kobiet badaniom lekarskim.

## KOBIECA POLICJA W CHINACH.

Pekin jest pierwszym miastem w Chinach, które będzie posiadało policję kobiecą. Biuro bezpieczeństwa publicznego zarejestrowało 1000 młodych kobiet, które zgłosiły się, jako kandydatki na policjantki.

Wszystkie kandydatki muszą przejść trzymiesięczny kurs, prowadzony przez pewną wykwalifikowaną chinkę, która wyszkoliła się w tej dziedzinie podczas pobytu w Nowym Jorku i innych większych miastach amerykańskich.

Od przyszłych policjantek wymagane jest wykształcenie w zakresie szkoły powszechnej, jednak przeważnie wszystkie zgłoszone kandydatki należą do sfery inteligentnej, większość z nich mówi po angielsku, znajduje się też między nimi wiele studentek. Jest to rękojmią, że będą dobrze spełniały swe obowiązki, których zakres jest bardzo duży.

## ODZNACZENIE AMELJI EARHART.

Miasto Filadelfja ofiarowało w tym roku medal Miss Amelji Earhart za jej lot transatlantycki.

Jednocześnie słynna lotniczka otrzymała zamszową torbę, zawierającą 1000 dol. w złocie, jako nagrodę dla „najwybitniejszej kobiety amerykańskiej w 1952 r.“.

## SKON JEDNEJ Z OSTATNICH WETERANEK.

W Warszawie zmarła w 95-tym roku życia Katarzyna z Chomiczów Komar-Gacka, uczestniczka powstania 1863-go roku, wdowa po generale. Ze zmarłą schodzi do grobu jedna z ostatnich kobiet z doby powstania.

## WSZECHZWIĄZKOWE ZJEDNOCZENIE „TORGSIŃ“ PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO ZSRR.

Wszyscy mogą teraz przekazywać pieniądze swym krewnym i znajomym, zamieszkałym w ZSRR, celem otrzymania towarów z magazynów „Torgsinu“. Przekazywać można pieniądze w nieograniczonej ilości i wszystkim bez wyjątku osobom. Odbiorca przekazu może według swego upodobania zaopatrywać się w towary wysokiego gatunku po cenach b. przystępnych. Przekazy na „Torgsin“ przyjmują najpoważniejsze banki w Polsce. Informację o sobie, telefonicznie lub piśmiennie, po otrzymaniu znaczka pocztowego, udziela Przedstawicielstwo Handlowe ZSRR, Warszawa, Koszykowa 4, tel. 9-06-66

# MÓWNIKA

## O nowy typ mężczyzny

*Z młodego pokolenia wyjdzie typ „nowego mężczyzny“.*

„Czy i o ile zmieniła się psychika współczesnego mężczyzny?“

Jest to pierwsze i zasadnicze pytanie, na które odpowiedź da nam już w ogólnych konturach typ mężczyzny takiego, jaki powstał i ustalił się od pewnego czasu z naszego, ściśle indywidualnego punktu widzenia. Odpowiedzi na następne pytania ankiety wypływają z pierwotnego założenia sprawy.

Pierwsze z nich jest szkicem jego rysów najbardziej charakterystycznych, najbardziej wypukłych, malujących istotne tło jego duszy; następujące — są retuszem sylwetki rzuconego na płótno portretu i wreszcie końcowe odpowiedzi będą subtelnym cieniowaniem postaci z punktu widzenia psychologicznego na tle życia przeżywanego epoki.

Gdyby nas zapytano, jaki jest typ współczesnego mężczyzny — dodatni, czy ujemny? — odpowiedzielibyśmy bez wahania: — niestety, ujemny.

Wiemy, że łatwiej jest kogoś oskarżać, natomiast trudniej jest bronić, a jeszcze trudniej — bronić się.

W myśl znanego przysłowia łacińskiego: „audiatur et altera pars“ — zabieram głos w roli oskarżonego.

Wpierw ustalmy, co rozumiemy w pojęciu słowa „współczesny“ mężczyzna.

Mówiąc krótko, po żołniersku, typem mężczyzny współczesnego nazwiemy typ powojenny, w przeciwieństwie do typu wręcz odmiennego, jakim był typ przedwojenny. O ile ten ostatni skłonny był poddawać się urokowi romantyzmu, był pełen radości życia, wiary w ideały, które już pieścił w swej duszy, będąc na ławie szkolnej, a z którymi występował i szedł przez życie, bo bez nich to życie nie miałyby dla niego celu; był wrażliwy na niedolę ludzką, subtelny w dziedzinie uczuć dla kobiety, bo nie deprawował, nie zohydzał tego najwznioślejszego z ideałów, co się zwie miłością — o tyle mężczyzna powojenny stał się człowiekiem nawskroś realnym, pozbawionym ideałów, trzeźwym i chłodnym — człowiekiem, u którego rządzi rozum, a nie serce, a dewizą jego są słowa: „cel uświęca środki“.

Czy mężczyzna jest winien, że się stał takim?

Nie!

Przyczyna tej kardynalnej zmiany tkwi w czteroletniej wojnie światowej i jej skutkach.

Ta wojna epokowa, której my, żyjące dotąd pokolenie, byliśmy świadkami, obalila, zdruzgotała i zmiądzzyła wiekami na-

gromadzoną, a uświęconą przez pokolenia, tradycję kultury narodu — poszanowanie niezłomnych zasad etyki i moralności. To, co dotąd było święte, przestało być święte. To, co uznawane było za hańbiące, stało się niemal bohaterstwem. Przez ten koszmarny okres zmagania, gdzie głoszone jakby nową cnotę: „siła przed prawem“ — gdzie mężczyzna musiał przeżywać momenty tak wysokiego napięcia nerwów, zetknięć się niejednokrotnie oko w oko z widokiem tak bolesnych przeżyć osobistych — nie dziw, iż nerwy nie wytrzymały, załamała się jego psychika.

Takim powrócił mężczyzna po wojnie do domu, do życia normalnego.

Miał leczyć schorzałą duszę na łonie rodziny, unikał jej, stał się dla niej obojętny. Ten, kto nie posiadał rodziny, nie dążył do jej założenia. Zapanowała wśród mężczyzn psychoza użycia, jakby chcieli powetować sobie długi czas trudów wojennych. W tych okolicznościach łatwo się wytworzyło pojęcie o podwójnej moralności.

Zasada małżeńskiej uczciwości przestała istnieć. Zdrada stała się rzeczą tak błahą, że nie było o czym mówić. Ten krok mężczyzny zrodził w obrażonej w swej godności kobiecie i żonie hasło „wet za wet“. Zaczęła się obopólna zdrada, i życie rodzinne zostało rozbite. Życie wspólne dla obojga stało się „piekłem“.

W pojęciu mężczyzny powojennego kobieta już nie jest istotą, z tęczy utkana, nie stoi na wysokim piedestale, skąd łaskawie raczyła przyjmować hołdy mężczyzn, nie jest „porankiem majowym“ a jest tylko... kobietą w życiu codziennym, kolegą przy pracy, współzawodniczką w sporcie.

Mężczyzna po wojnie przejął się zasadą amerykańskiej pracy... Jest więc on, jak każdy zresztą szanujący się Amerykanin, w stosunku do kobiety przesadny w wymaganiach, przykry, szorstki, a niekiedy potrafi być i brutalny, nie widząc w tem nic zdrożnego. Gdzie się podziała dawna rycerskość, choćby dzentelmeńskość względem kobiet? Dzisiaj napróżno jej szukać nie tylko po biurach, lecz i w saloonach!

Mówię tak o mężczyznach, nieskrepowany żadnymi uprzedzeniami; mówię o wrażeniu ogólnym, jakie odbieram, narówni z innymi, obserwując życie dzisiejsze.

Jednak, wśród tej nocy ciemnej i ponurej, da się ledwie dostrzeżeć gdzieś w odali jakby bliski przedświt.

Nie błędna jeszcze brzegi horyzontu na wschodzie, lecz już czai się świt bliski! Noc się skończy niedługo, zablśnie słońce, rozleje swe życiodajne promienie i obudzi się ziemia ze snu.

Tak też i my pociesmy się nadzieją, że już rośnie i dorasta pokolenie nowe, młode, które wolne jest od ciężaru wojny minioniej. Rośnie ono w blasku cnót dawnych rodzi polskich, przepojone nie tylko ideałami, które, dzięki Bogu, nie wygasły zupełnie w zawierusze wojennej, lecz i mocne poczuciem wolnych obywateli Ojczyzny.

Bolesław Zarzycki.

# Pani szyje

## ZE WSTĄŻEK

Moda jest doprawdy niewyczerpana w swoich pomysłach. Z całą uprzejmością podsuwa coraz to coś nowego, albo wydobywa z pyłu zapomnienia różne rzeczy, o których przez dłuższy czas nie pamiętano wcale. Wracają one na światło dzienne z głębi szaf lub pudeł, albo przychodzą z warsztatów, które ożyły nanowo, dzięki nowej zachciance mody. Tak dzieje się i obecnie ze wstążkami. Miękkie, delikatne, doskonale i precyzyjnie odrobione, zwróciły oddawna uwagę modystek. Nietylko przybierają niemi, ale szyją całe kapelusze z pięknych, jedno lub wielobarwnych wstążek. Za modystkami kroczą w ślad wielcy krawcy, którzy doszli do przekonania, że można ze wstążek robić całe suknie, albo używać ich jako doskonale dekoracyjnego przybrania.

Obmyślili i przygotowali szereg atrakcyjnych modeli. Niektóre z nich nadają się doskonale na przerobienie niemodnej sukni. Do każdego z nich może pani wnieść oryginalną, indywidualną nutę, tem bardziej, jeżeli znajdzie w archiwach potrzebny do tego materiał. Wstążki odpowiednio są na modele o przeróżnem zastosowaniu.

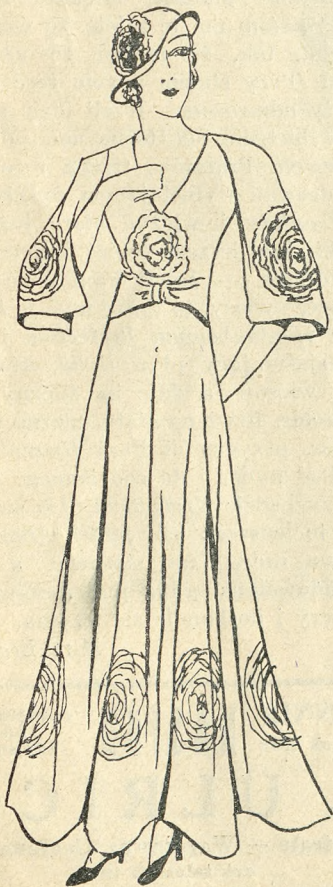
Na rys. 1 mamy suknię *popołudniową*, wizytową. Suknia zrobiona jest z czarnej żerzety i naszyta aksamitkami, których szerokość zwiększa się ku dołowi. Rozmieściła się je w odstępach odpowiednich do ich szerokości, przyszywając lekko i tylko od góry. Aksamitki, naszyte na rękawach, powinny mieć tę samą szerokość, co aksamitki na sukni. Trzeba pilnie uważać, żeby odstępy były zachowane zupełnie w



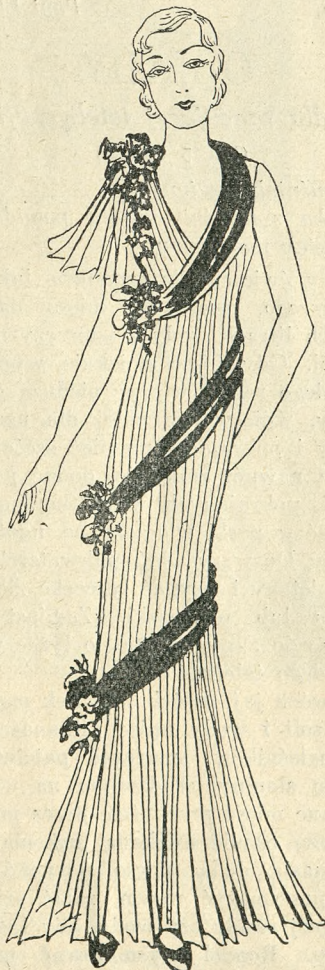
Rys. 1.

tej samej odległości, co i na sukni. Model taki możnaby również wykonać z *crêpe satin*, dając jeden pas matowy, a drugi błyszczący. Świetny jest do podłużenia za krótkiej sukni, do której nie można dobrać tego samego materiału.

Rys. 2. *Suknia weselna dla druchny*. Najlepiej wykonać ją z muślinu jedwabnego w pastelowym kolorze niebieskim lub różowym. Przybiera się ją medaljonami z taftowych wstążek w tym samym kolorze.



Rys. 2.



Rys. 4.

Spódnica kloszowa, szeroka, przybrana jest na każdym godzicie medaljonem. Medaljon tej samej wielkości ozdabia przód, staniczka i kloszowe rękawki, do łokcia, rozcięte od wewnątrz. Małeńki kapelusik z leciutkiej słomki, nasunięty na jedno oko, przybrany jest takim samym dużym medaljonem. Medaljony ze wstążek są bardzo łatwe do zrobienia i można je uszyć dosyć prędko. Trzeba zmarszczyć wstążeczkę, wykrajając medaljony pożądanej wielkości z papieru, nafastrygować na sukni i naszywać na nich zmarszczone wstążeczki od środka ślimakowato do zewnątrz. Po skończeniu powyciągać papier po kawaleczku.

Rys. 5. *Suknia dancinowa* lub wieczorowa. Bardzo odpowiednia dla młodej, wysmukłej osoby. Zrobiona jest całkowicie ze wstążek taftowych, połączonych mereżką, wykończoną ścięciem „Janina” (mereżka robiona na podłużnym pasku papieru).

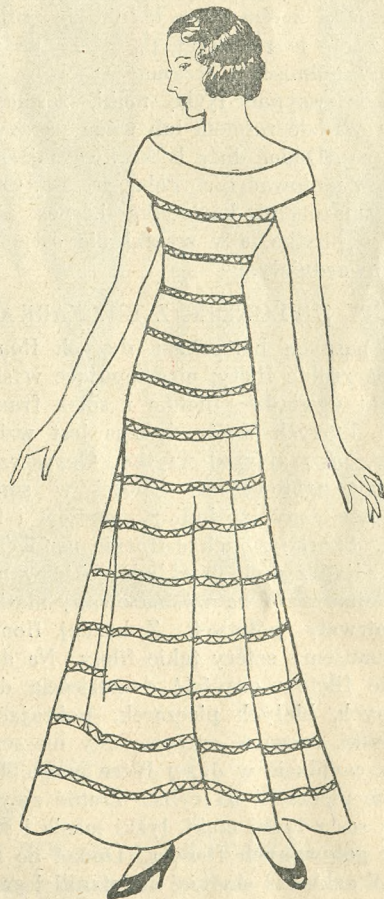
Model ten, wykonany w jasnym kolorze, będzie doskonale przystrajał młodą panią. Zrobiony w kolorze fioletowym, czerwonego wina lub czarnym będzie odpowiedni dla młodej pani, posiadającej piękną linię ramion.

Rys. 4. *Suknia balowa*. Model ogromnie oryginalny. Zależnie od obranego koloru i gatunku materiału, może być odpowiedni dla pań w różnym wieku. Suknia z lekkiego materiału, cała plisowana, opasana jest ukośnie szerokimi, lekko drapowanymi wstążkami. Bardzo odpowiednim materiałem będzie żorżeta lub *crêpe-romain*.

Model, który skópowaliśmy dla naszych Czytelniczek, zrobiony był z lila *crêpe-romain*: opasywały go wstążki fioletowe, zakończone pękami malinowych róż.

Wykonać go można w kolorze białym lub innym pastelowym, dobierając kolor wstążki do typu i urody właścicielki.

M. Dobrowolska.



Rys. 3.

# PRZEPISY GOSPODARSKIE

## ZUPA Z GŁOWY RYBIEJ.

Z głowy dużej ryby: lososia, jesiotra, suma można ugotować nadwzyczaj smaczną i pożywną zupę. Głowa suma bywa tak ogromna, że nie można jej od razu użyć całej na zupę: dla pięciu (do sześciu) osób wystarczy kilowy kawał takiej głowy. Głowę lososia, nawet z dużej sztuki, bierze się zwykle całą. Nastawić smak z dwóch i pół litrów wody, włoszczyzny, jak na rosół, cebuli, listka, pieprzu. Gdy się dobrze nagotuje, włożyć głowę, wpierw osoloną na godzin parę. Skoro zupełnie się rozgotuje, rozebrać ją i wyjąć z niej drobne kawałki mięsa. Oddzielnie ugotować i doskonale rozkleić piętnaście deka kaszy perłowej, dodać kawałek śmietankowego masła, wybić doskonale. Włożyć kaszę w precedzony rosół rybny, dodać kawałki ryby, zagotować razem. Wylać do wazy na przygotowany, usiekany, zielony koperek. Do takiej zupy podaje się dobrze zrumienione grzanki z bułki z ostrym serem.

## ZRAZIKI „à la hâte”.

Cienki koniec polędwicy wołowej, niedający się użyć ani na befszytk, ani do upieczenia w całości, jest najodpowiedniejszy na tę potrawę. Pokrajać mięso na niewielkie kawałki rozmiaru dużego, włoskiego orzecha, a grubości małego palca. Dużą cebulę (lub więcej — zależnie od ilości mięsa) pokrajać w cienkie płatki. Niedużą ilość masła mocno zrumienić na patelni; rzucić na nie mięso. Solić i pieprzyć dopiero, gdy się ładnie zrumienia. Kiedy przewrócimy je na drugą stronę, posypać obok cebulę i zrumienić razem. Skoro tylko zraziki z obu stron ładnie się zrumienia, zdjąć je z patelni, przełożyć na wygrzany półmisek i trzymać w ciepłe. Na patelnię wsypać łyżkę mąki, zasmażyć, rozprowadzić rosółem lub wodą na zawieszisty sos. Dodać dużą łyżkę kwaśnej śmietany. Zagotować raz. Połać zraziki. Obłożyć smażonami kartofelkami. Sos robić bardzo prędko, aby zraziki nie ostygły i nie stwardniały.

## FILETY Z FLONDER Z PIECZARKAMI.

Z naszych bałtyckich, dużych flonder można zrobić filety, nieustępujące w smaku ani wyglądzie filetom z solek francuskich, których wówz do nas jest wzbromiony, jako artykuł zbytku. Oczyszczone flondry ugotować w całości w smaku z włoszczyzny i cebuli z pieprzem i listkiem. Skórkę z nich ostrożnie usunąć, filety zdjąć z ości, przekładając je w miarę zdejmowania na wysmarowany masłem, ogniotrwały półmisek. Z każdej flondry otrzymujemy cztery takie filety. Na dwaście filetów oczyścić dwadzieścia deka jędrnych, białych pieczarek, pokrajać je w płatki, zacisnąć cytryną, aby nie szczybiały, poddusić w dużej łyżce masła. Ułożyć te pieczarki na rybie. Zrobić zwykły biały sos z łyżki mąki, łyżki masła i smaku z gotowanych flonder. Dodać do niego pół szklanki słodkiej śmietanki i garst-

kę ostrego, tartego sera. Sosem tym zalać rybę i wstawić na kilka minut do gorącego pieca, aby się dobrze rozgrzała. Podawać na tym samym półmisku. Obłożyć drążonami kartofelkami z wody.

## FAWORKI LANE (CHRÓŚCIK).

Sześć łyżek suchej, przesianej mąki pszennej utrzeć na misce z trzema żółtkami, łyżką cukru utłuczonego z kawałkiem wanilji, dodać mleka tyle, aby ciasto było nieco gęstsze, niż na naleśniki. Dodać białka, ubite na sztywną pianę, wymieszać. Wstawić miskę z ciastem w drugą miskę z zimną wodą, aby piana nie opadła. W niedużym rondelku rozpalić szmalec, jak na pączki. Przez lejek lać na szmalec ciasto, poruszając lejkiem w różne strony, aby się uformowało jakby gniazdo ptasie. Gdy się jedna strona zrumieni, przewrócić na drugą. Robić to łyżką durszlakową, aby ciasta nie połamać. Po wyjęciu osączyć na bibule i gorące jeszcze posypać cukrem, utłuczonym z wanilią.

## KREM SZODONOWY.

Trzy żółtka utrzeć do białości z dwudziestoma deka cukru. Szklankę wina zgrzać na ogniu, dodać żółtka, ubijając, aż zbieleje, zgęstnieje i przybędzie go wdwójnasób. Wlać kieliszek araku lub rumu. Białka ubić na tęgą pianę, zmieszać z szodonomem, zdjąć z ognia i ubijać dalej, aż masa zacznie stygnąć. Sześć listków białej żelatyny rozmoczyć w zimnej wodzie, rozpuścić w paru łyżkach gorącej wody. Zmieszać naprzód z częścią szodonowej masy, potem z resztą, aby się żelatyna raptownie nie ścięła. Przełożyć do formy. Zastudzić. Na półmisku ubrać galaretą porzeczkową i podać z syropem porzeczkowym. *Pani Elżbieta.*

## OBIADY

### dla pracującej inteligencji

(NA 5 OSÓB)

*Kapuśniak „leninowy”.*

*Babka z naleśników—sos pomidorowy.*

*Kisielek waniljowy.*

Trzy ćwierci kilo szpondra, lub innego, gorszego, rosółowego mięsa nastawić w trzech litrach wody z włoszczyzną, jak na rosół. Gdy mięso zmięknie, wyjąć Do pozostałego rosółu włożyć niedużą główkę kapusty, wpierw sparzonej dla usunięcia goryczy i pokrajanej na pięć części. Gdy kapusta nawpół zmięknie, dodać pół kilo kartofli, pokrajanych w kostkę, następnie pokrajać w paski włoszczyznę, ugotowaną w rosole. Do wazy wlać półkwaterek kwaśnej śmietany i wsypać łyżeczkę zielonego koperku lub pietruszki. Zamiast kłaść śmietaną do zupy, można po łyżce włożyć do każdego talerza.

Z dwóch jaj, dwóch szklanek mąki, łyżeczki soli i wody upiec kilkanaście dużych naleśników, smarując patelnię kawałkiem słoniny, osadzoną w widelcu. Gotowane mięso przepuścić przez maszynkę. Dużą cebulę usiekaną przesmażyć w łyżce masła, dodać mięso, posypać łyżką mąki, przesmażyć razem, zalać szklanką lub więcej rosółu czy wody, aby farsz był soczysty. Rondel wysmarować masłem,

wysypać bułeczką, wyłożyć naleśnikami. Kłaść rzędami farsz i naleśniki, aż wszystko wyjdzie. Ostatni powinien być naleśnik. Skropić masłem, posypać bułeczką. Wstawić w średnio gorący piec na pół godziny. Upieczoną babkę wyłożyć na półmisek i pokrajać, jak tort. Podać do niej czysty sos pomidorowy, którego przepis kilka razy był w „Bluszczu” umieszczony.

Litr mleka zagotować z filiżanką cukru i dwucalowym kawałkiem wanilji. Filiżankę mąki kartoflanej rozbić z filiżanką zimnej wody, wlać do wrzącego mleka. Wybijać łyżką, aż cała masa zgęstnieje i stanie się jednolita. Wylać na salaterkę i wynieść na chłód na godzin parę. Podawać z jakimibądź konfiturami lub syropem owocowym. *Pani Elżbieta.*

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI

*P. Zofji K.* — Najlepszą farbą do włosów, która nie daje odcieni i różnych kolorów, jest farba *Hennolina do włosów*. Bardzo łatwa w użyciu, niekłopotliwa i sama Pani może włosy farbować w domu. Ma ona tę zaletę, że po jednorazowym użyciu, daje kolor blond, jeżeli kolor jest za jasny, to trzeba powtórzyć drugi raz, a włosy będą koloru brun, przy trzecim użyciu będą czarne (noir), tak że każdy z łatwością dobierze sobie odpowiedni kolor. Przy kupnie prosimy żądać *Hennoliny do włosów*, gdyż jest jeszcze *Hennolina do brwi*.

*P. Janinie.* — Najwięcej zniszczone ręce doprowadzi Pani szybko do porządku *Kremem Pralatów*. Nawet przy gospodarskich zajęciach, kuchni i t. p. *Krem Pralatów* daje nadzwyczajne rezultaty. Ręce będą zawsze gładkie, miękkie i białe. *Krem Pralatów* ma tę zaletę, że wciera się do sucha, tak, że można go używać i w dzień. Przy stałym użyciu ręce nie będą nigdy odmrożone. Jeżeli idzie specjalnie o wybielenie rąk, to na noc, po natarciu *Kremem Pralatów*, trzeba ręce grubo przypudrować wybielającym pyłkiem *Juvenia Candida* i włożyć stare luźne rękawiczki, lub jeszcze lepiej kosmetyczne.

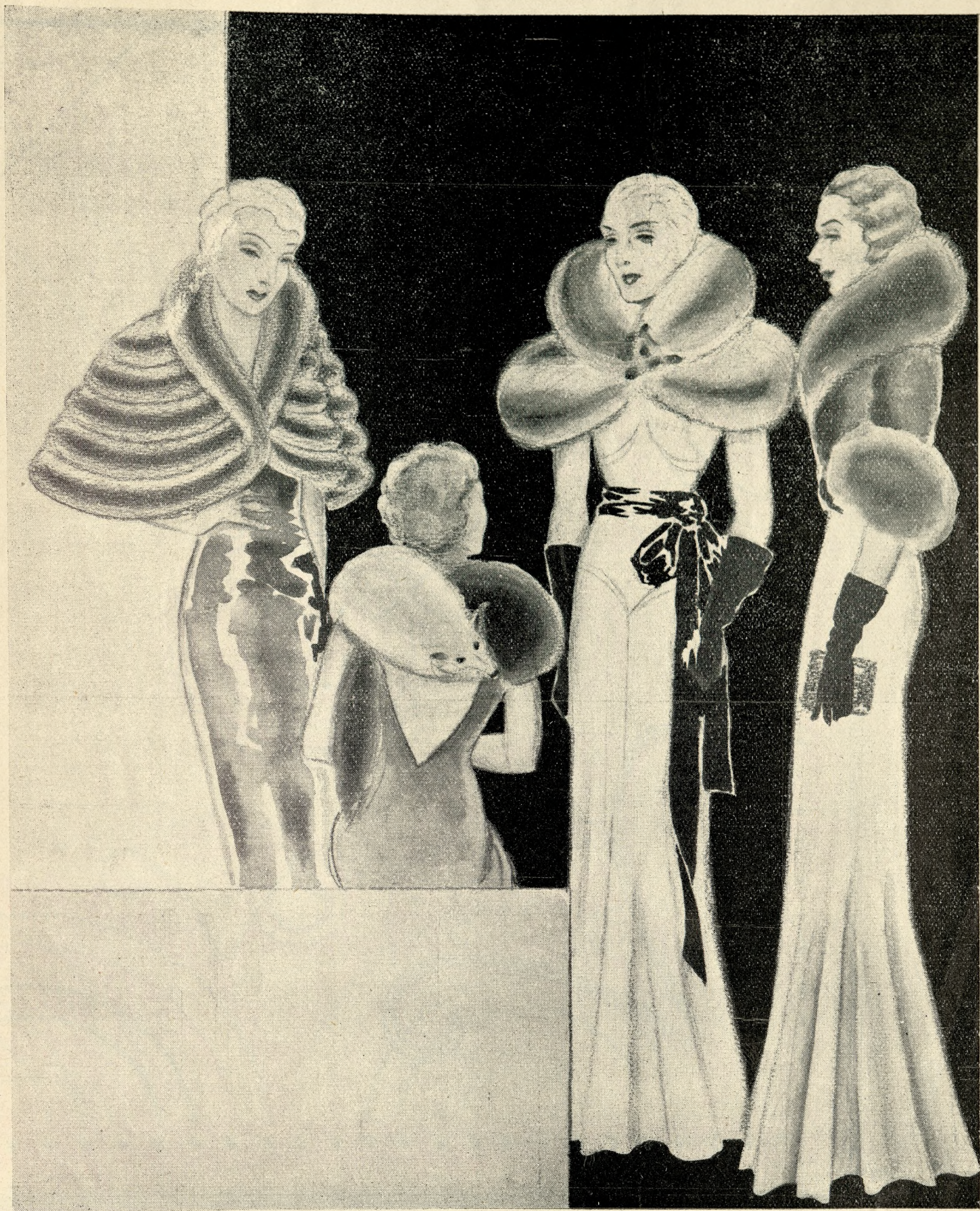
*Blondynce.* — Jeżeli Pani chce rozjaśnić jeszcze włosy, to radzę myć je *Schampooem rumiankowym Perfection* i stosować rozjaśniający płyn *Hella*, który nie niszczy włosów, a daje im śliczny złotoblond kolor. Brwi na stały, niezmywający się kolor, przyciemni Pani *Hennoliną do brwi*. Pod puder i do codziennego użytku najlepszy będzie *Krem Seta*. Co się tyczy pudru, to lepszego nad *puder Abarid* nie ma i ten radzę Pani stosować, a będzie Pani zadowolona, gdyż puder *Abarid* nie psuje cery i doskonale się trzyma.

*M-m Ercedès.*

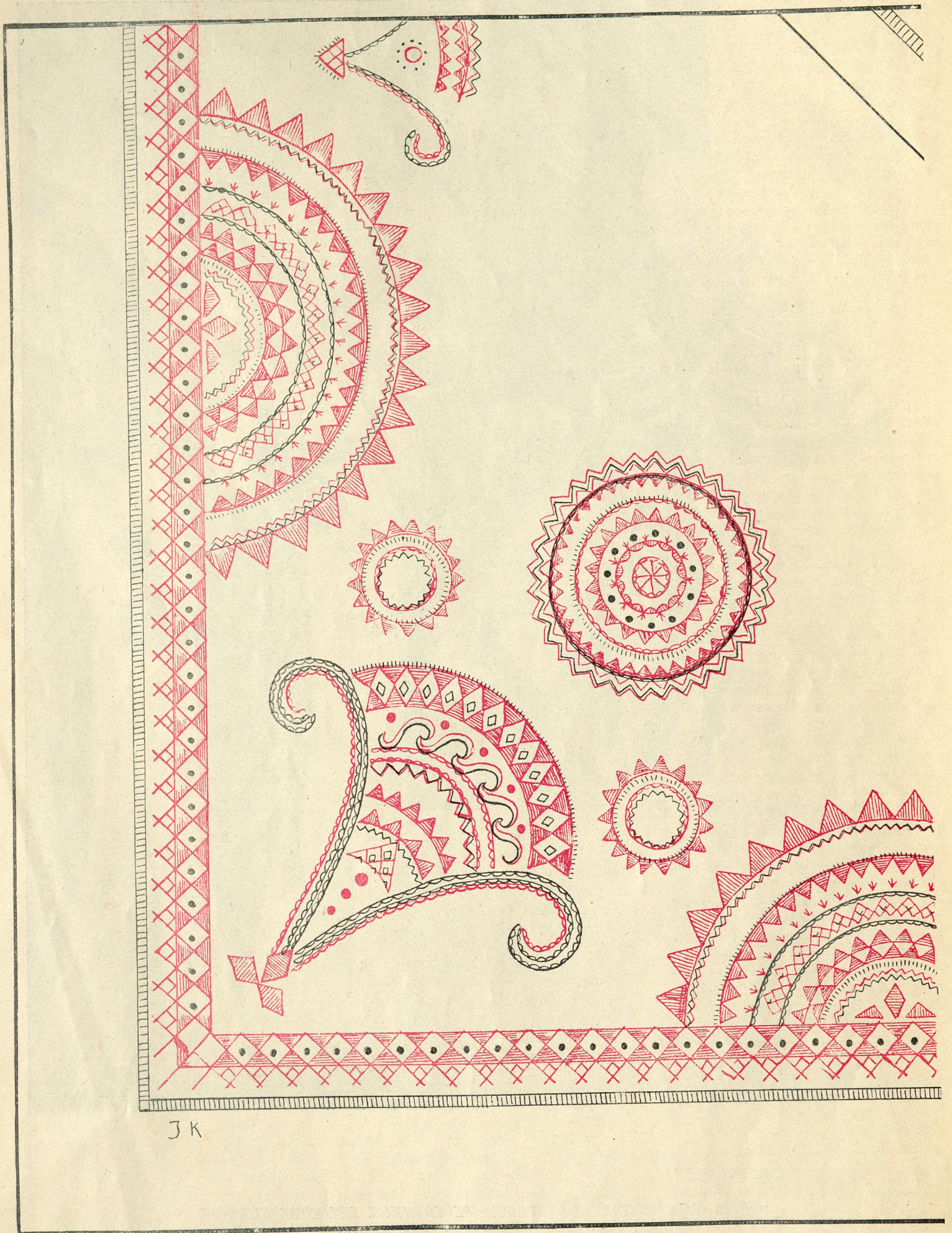
CENNIK NASION rozsyłamy na żądanie  
na rok 1933

C. ULRICH

Centrala — Warszawa, Ceglana 11.  
Rok założenia 1805. 547



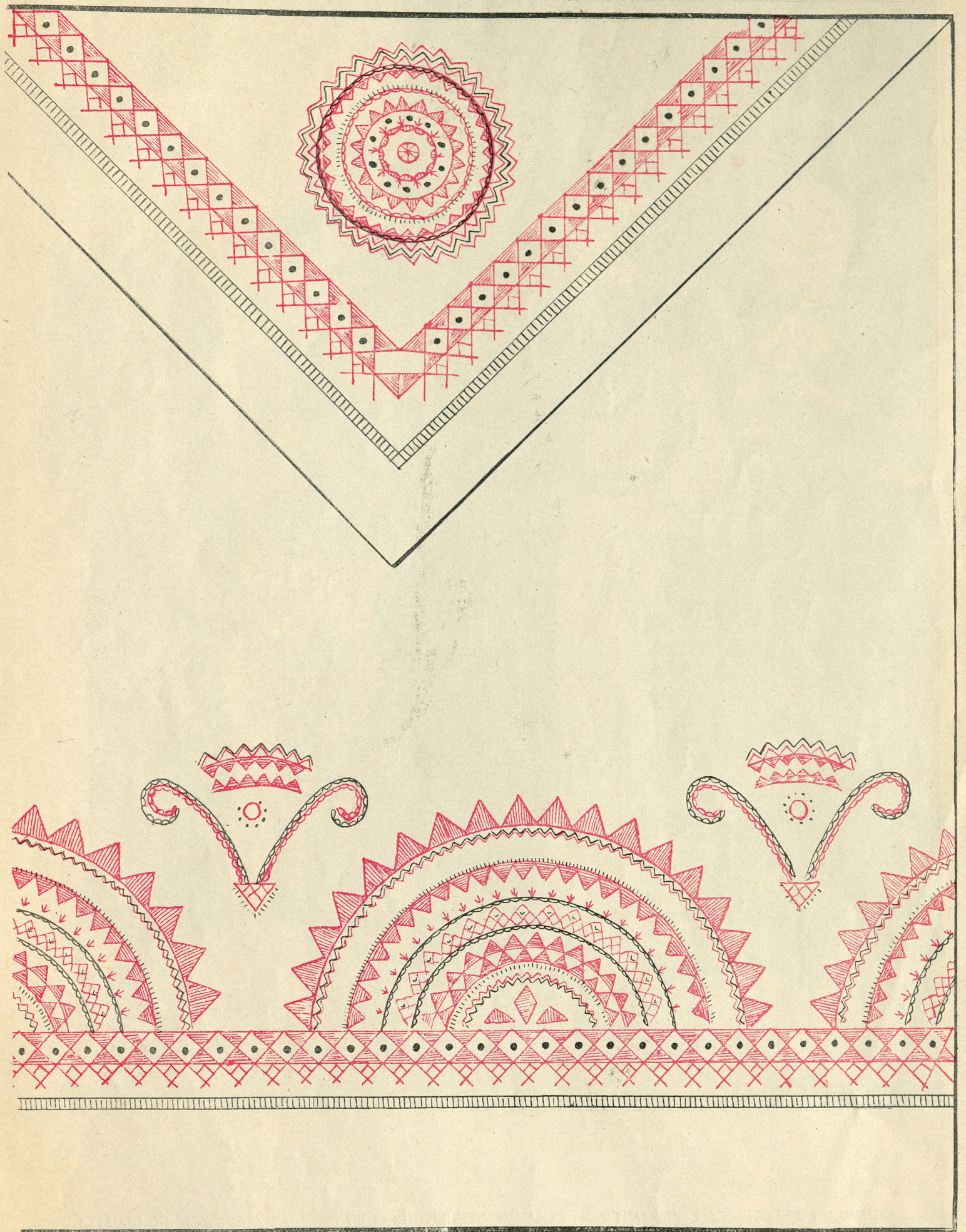
*SORTIE WIECZOROWE W KSZTAŁCIE PELERYNKI Z RULONÓW NURKÓW.  
DWA LISY: CZARNY I BIAŁY, POŁĄCZONE ŁBAMI.  
PELERYNKA Z DWÓCH LISÓW BRONZOWYCH — SUKNIA BALOWA Z DUŻĄ KOKARDĄ Z WSTAŻKI CIRE.  
SORTIE Z FIOLETOWEGO AKSAMITU, PRZYBRANE FUTREM.*



JK

Szlak na obrus z płótna-samodziału





*i male serwetki — motywy kurpiomskie.*



SUKNIA I PELERYNKA Z AKSAMITU W KOLORZE CZERWONEGO WINA — OBSZYCIE Z SZAREGO LISA.  
SUKNIA JEDWABNA SZARA — KOLNIERZ ZE SREBRNEGO LISA.  
PALTO WIOSENNE CIEMNO-SZARE, KOLNIERZ I MUFKA Z OPOSÓW.  
PALTO CZARNE WIOSENNE, PRZYBRANE RULONAMI SKUNKSÓW.

KSIĄŻKI  
NADEŚLANE DO REDAKCJI

BIBLIOTEKA SAMOKSZTAŁCENIA.

*René Mannier*: „Wprowadzenie do socjologii”. — Spolszczyła Nina Assorodobraj. Nakładem „Naszej Księgarni”.

*Janina Jastrzębiec-Srońcicka*: „Za kulami opery”. — Dom Książki Polskiej.

*Marja Żulkasiowa*: „Moi przyjaciele”. — Biblioteka książek różowych.

*Władysław Gacki*: „Szkice Myśliwskie”. — Dom Książki Polskiej.

*Józef Starzewski*: „Ze wspomnień o Michał Starzewskim”. — Kraków 1932 r. Odbito w Drukarni Narodowej.

*Z Weyssenhofów Wanda Buehring*: „Myśli przy gospodarstwie domowym”. Warszawa.

*Stanisław Niemiński*: „Fryderyk Franciszek Szopen”. Wyd. Komitetu dni szopenowskich w Polsce.

*Zajmujące czytanki*. Wyd. M. Arsta.

*Stefan Łoś*: „Przygoda w Serra do Mar”.

*Helena Duninówna*: „Przyjaciółki”.

*Bolesław Chomicz*: „O pracy ludzkiej — pieniądzu i dobrobycie”.

KSIĄŻKA WYDAWNICTWA  
„ŻYCIE PRAKTYCZNE“

p. t.

**BIELIZNA  
DZIECIĘCA**

zawiera wskazówki, jak samej przygotować bieliznę dla niemowląt i dzieci do lat 7-miu,

63 rysunki w tekście i 2 tablice kroju.

Cena 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Tow. Wydawnicze  
„BLUSZCZ” — Warszawa,  
Pl. Zamkowy 9 i Solec 87.

**POCZĄTEK ROKU !!!  
POCZĄTEK KŁOPOTÓW !!!**

tak myśli każda Pani Domu.

ŚPIESZYMY Z PORADĄ:

**KSIĄŻKA RACHUNKOWA KOBIETY POLSKIEJ**

dopomoże każdej z Was do wybrnięcia z trosk, związanych z prowadzeniem gospodarstwa domowego.

Cena książki w oprawie kartonowej, o dużym formacie tylko zł. 1.50 (zniżona), (z przesyłką pocztową zł. 2.10), więc wydatek znikomy, a bezwzględnie przyczyni się do rozwiązania całego szeregu trudności, które w dzisiejszych czasach goszczą w każdym domu.

Wypróbowany, przejrzysty, łatwy układ książki daje możliwość rozpoczęcia prowadzenia rachunków od każdego dnia, i napewno w krótkim czasie zrównoważony budżet stanie się podstawą spokoju w każdym domu.

**Przejrzeć i nabyć można** w każdej księgarni oraz w Tow. Wyd. „BLUSZCZ”  
Warszawa, Solec 87 i Plac Zamkowy 9.

TREŚĆ NUMERU: 1865 — 1935 — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Ankieta „Bluszczu”: O nowy typ mężczyzny — *Aura Wyleżyńska* i *Jadwiga Korczakowska*. Cienie wieczoru (powieść) — *Zofja Kunicka*. Warszawa po latach siedemdziesięciu — *Aura Wyleżyńska*. W schronisku dla weteranów — *Jadwiga Kiewnarska*. U was i u nas — *Zbigniew Grabowski*. Sieroty po pracy — *Old Lady*. Na nartach — *Janina Strzelecka*. Poezje: „Światła miasta” — *Stefan Pomer*. Prawo a rodzina — *Krystyna Westerska*. Godziny posiłków — *Pani Elżbieta*. Z ubiegłego tygodnia — *H. N.* Kobieta w świecie i w domu. Mówiła. Pani szyje — *M. Dobrowolska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Obiady dla pracującej inteligencji — *Pani Elżbieta*. Mody. Książki nadesłane do Redakcji.

**WARUNKI PRENUMERATY:**

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 4.50 zł., kwartalnie — 13.50 zł., rocznie — 54 zł.  
Do innych krajów miesięcznie 6 zł. Zmiana adresu 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Solec 87.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Bluszczy”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW* (naczelnia) i *MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW*.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Solec 87, tel. 244-18 i 787-03.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszczy”. Warszawa, Solec 87.

# KARNAWAŁ!!!

zabawy — przyjęcia — wesela —  
w y p r a w y ś l u b n e...

We wszystkich tych sprawach najlepiej doradzi

WYDAWNICTWO

## „ŻYCIE PRAKTYCZNE”

obejmujące książki, poświęcone sprawom gospodarstwa domowego, jak również i życia towarzyskiego.

DROBNE CIASTECZKA  
ZIMNE NAPOJE  
PRZYSTAWKI GORĄCE  
SALATY I SALATKI  
NAPOJE GORĄCE  
NALEWKI I LIKIERY  
TORTY DOMOWE  
CUKIERKI I SŁODYCZE  
DOMOWEJ ROBOTY  
PASZTECIARNIA  
DOMOWA  
CO, JAK I KIEDY PODA-  
WAĆ (część I-sza i II-ga)  
O PRZYJĘCIACH I STOLE  
JADALNYM

WZOROWA PANI DOMU  
UMIEJĘTNOŚĆ ZACHO-  
WANIA SIĘ W ŚWIECIE  
I W DOMU  
UMIEJĘTNOŚĆ OBCOWA-  
NIA Z LUDŹMI  
— :: —  
WYPRAWA PANNY  
MŁODEJ  
WYKWINTNA I PRAK-  
TYCZNA BIELIZNA  
O POŚCIELI I BIELIŹNIE  
POŚCIELOWEJ  
UMEBLOWANIE WSPÓŁ-  
CZESNE (o urządzeniu ma-  
łego mieszkania)  
WNĘTRZE DOMU POL-  
SKIEGO

Każda z powyższych  
książek kosztuje 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką  
pocztową 1 zł. 80 gr.

Książki wyżej podane nabyć można w Tow. Wyd. „Bluszcz” — Warszawa, Sołec 87 i Pl. Zamkowy 9

ORAZ WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.